

**Przygody Polaków
z demokracją**

Marek Beylin



Książka dofinansowana przez:



**OPEN SOCIETY
FOUNDATIONS**

Counterpoint jest grupą badawczo-doradczą, która wykorzystuje metody właściwe naukom społecznym do analizy dynamiki zjawisk społecznych, politycznych i kulturalnych. Skupia się na zagadnieniu, jak w rozmaitych kontekstach funkcjonuje społeczeństwo obywatelskie. Counterpoint pomaga innym organizacjom w poszukiwaniu rozwiązań pozwalających stworzyć prężniejsze i szczęśliwsze społeczeństwa.



This book is available to download and re-use under a by-nc-sa Creative Commons license ported to UK law. This means that you are free to copy, distribute, display and perform the work, and make derivative works, in a non-commercial context, as long as you credit Counterpoint and the author and share the resulting works under an equivalent license.

See <http://creativecommons.org/licenses/by-nc-sa/2.0/uk/>

Przygody Polaków z demokracją

Published by Counterpoint 2012
Some rights reserved

www.counterpoint.uk.com

ISBN 978-0-9568225-4-3
Copy edited by Julie Pickard
Series design by modernactivity
Typeset by modernactivity
Printed by Lecturis
Text & cover paper: Munken Print White
Set in **Transport** & **Scala**



Mixed Sources

Product group from well-managed
forests, controlled sources and
recycled wood or fiber
www.fsc.org Cert no. CU-COC-804101
© 1996 Forest Stewardship Council

Marek Beylin

	Podziękowania.....	3
	Wstęp. Społeczeństwo jest najważniejsze.....	5
1	Polacy wchodzą w demokrację i na rynek.....	II
2	Egzorcyzmy. Przeganianie komunizmu.....	29
3	Demokracja i jej demokratyzacje.....	39
4	Społeczeństwo mniejszości i jednostek.....	47
	Przypisy.....	75

Podziękowania

Counterpoint chciałby podziękować Open Society Foundations za hojne wsparcie projektu „Odzyskiwanie niechętnych radykałów Europy”.

Wstęp. Społeczeństwo jest najważniejsze

Zimą 2012 roku kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi wyszło na ulice polskich miast w proteście przeciw ACTA. Rząd podpisał tę międzynarodową umowę o ściganiu piractwa w sieci mimo ostrzeżeń ekspertów, że może ona zagrażać wolności internautów, dając wielką władzę potężnym komercyjnym korporacjom. Zwołując się własnie przez sieć, spontanicznie i razem demonstrowali lewicowcy, prawicowcy, liberałowie, byli tam anarchiści i piłkarscy kibole znani dotąd ze stadionowych burd i nacjonalistycznych ekscesów. Połączyło ich tylko to, że poczuli się zagrożeni jako internauci. Protesty trwały kilka tygodni i był to jeden z najbardziej masowych sprzeciwów w III Rzeczypospolitej (III RP), czyli od 1989 roku, gdy w Polsce upadł komunizm i nastąpiła demokracja. To jedna osobliwość. Inną stanowiło to, że te liczne manifestacje były pokojowe, nie przeradzały się w bijatyki, nie towarzyszyły im akty wandalizmu. Gniew był pod kontrolą, ale demonstranci kontrolowali się sami, bo te protesty nie miały przywódców ani jednolitej struktury, nie stały też za nimi żadne organizacje. Polityków, którzy chcieli dołączyć się do ulicznych protestów, przeganiano. Demonstrantów wspierały w sieci grupy hakerskie, dezorganizując strony rządowe. Sieć wrzała, bunt narastał, ożywiany także tym, że podobne protesty zaczęły się w innych krajach europejskich.

Rząd się ugiął. Premier Donald Tusk przeprosił internautów za błąd i zapowiedział, że wprawdzie Polska umowę podpisała, ale rząd jej nie skieruje do ratyfikacji

w parlamencie. Tusk zaprosił też aktywistów sieciowych na spotkanie, by przedyskutować problem, jak chronić się przed piractwem w internecie, nie naruszając wolności. Wielu zaproszenie zignorowało, tłumacząc, że nie mają z rządem o czym gadać, a poza tym dyskusje najlepiej prowadzi się w sieci.

Te zdarzenia pokazują znacznie więcej niż tylko rangę internetu w życiu młodszej części społeczeństwa. Podczas protestów ujawniło się coraz bardziej obecne społeczeństwo autonomicznych jednostek angażujących się w imię własnych jednostkowych interesów. Późniejsze próby zaprzęgnięcia tych ludzi do demonstracji w innych sprawach spaliły na panewce. To społeczeństwo jest zdystansowane wobec polityki i nieufne wobec niej. Wymusza ustępstwa władzy, lecz nie ma zamiaru nawiązywać z nią kontaktów, czy to przez dialog, czy przez trwale zorganizowany nadzór, zostawiając to wyspecjalizowanym i niezbyt licznym organizacjom pozarządowym. W tych zdarzeniach zobaczyliśmy też władzę: raczej słabą, ale nadrabiającą słabość elastycznością, zaskakiwaną reakcjami społecznymi i ratującą się wtedy uległością.

I co równie ważne, zobaczyliśmy, jak nagle traci prymat konflikt, który od siedmiu lat organizuje i zawłaszcza życie polityczne. Konflikt między dwiema najsilniejszymi polskimi partiami: nacjonalistyczno-populistyczno-autorytarnym Prawem i Sprawiedliwością (PiS) Jarosława Kaczyńskiego a rządzącą, konserwatywną w swym tronie Platformą Obywatelską (PO) premiera Donalda Tuska. Oba ugrupowania pożywiają się tym zwarem; niemała część wyborców wspiera PO, partię nieruchawej, acz przewidywalnej modernizacji, ze strachu przed PiS-em, a PiS przygarnia także tych, którzy mają dosyć rządów PO. Protestujący przeciw ACTA dobitnie dowiedli tym, którzy nie pojęli tego wcześniej, że polskie problemy nie wyczerpują się w tym manichejskim

podziale. Społeczeństwo bowiem buzuje od konfliktów, co rusz sprawiając politykom niemiłe niespodzianki.

Na polskie przemiany od 1989 roku da się patrzeć z różnych punktów widzenia. Można skupić się na powstawaniu demokracji instytucjonalnej, pokazywać rozwój partii politycznych, zmiany elektoratów, partyjne dyskursy i kampanie oraz to, jak krzepły władze centralne i samorządowe. Można też uznać, że najważniejsze w tej krótkiej, bo ledwie dwudziestoparoletniej historii Polski jest kształtowanie się gospodarki rynkowej jako fundamentu demokracji liberalnej, w tym praw jednostki. I opisywać narodziny rynku, powstawanie warstwy przedsiębiorców oraz ustawiczne dyskusje o interwencyjnej roli państwa, głównie – czy i jak państwo jest w stanie łagodzić efekty rynku.

Mnie jednak bardziej interesuje inne spojrzenie: na przygody społeczeństwa z demokracją oraz jego wzajemne stosunki z polityką. Nie tylko dlatego, że istnieje wyraźny deficyt takich opisów. Przede wszystkim, czas polskiej demokracji to niebywałe zmiany społeczne, w tym gwałtowne różnicowanie się przy często fałszywych politycznych artykulacjach tych różnic. A także eksplozja aspiracji życiowych i tożsamościowych. Wszystkie te procesy, i tak szybkie, przyspieszyły jeszcze po wejściu Polski do Unii Europejskiej (UE). Jedynie z lekką przesadą retoryczną można mówić o polskich rewolucjach, nie tylko ewolucjach, jakich doświadczamy od dekady. Właśnie to tempo i bezwzględność zmian, niezależnie od ich dobroczynnych skutków, kształtują społeczeństwo i politykę. Rodzą też postawy populistyczne. Dość zmian, zatrzymać czas – to jedno z głównych, choć niewypowiadanych wprost przesłań, jakie dobiegają od niemałej części społeczeństwa. Przesłań tworzących stały fundament polskich populizmów. To nie koniec komplikacji. Przecież pod powierzchnią życia publicznego kłębi się utajona część społeczeństwa. Chodzi mi o te postawy,

przywiązania i oczekiwania, które nie znajdują politycznych artykulacji lub przyoblekają się w nie z opóźnieniem. Nierzadko też z braku dostępnych formuł czy języków ludzie biorą za swoje takie artykulacje, które ich pragnienia fałszują. Oznacza to, że w Polsce jest wiele Polsk, a każda z nich wpływa na to, co widzimy. Na stan demokracji.

I jest jeszcze jeden powód, dla którego zajmę się głównie politycznymi przygodami społeczeństwa. Myślę bowiem, jak zresztą wielu obserwatorów, że nasze demokracje, w tym polska, nie tylko wciąż zmieniają postać, lecz także potrzebują pilnej odnowy. W całej Europie obecna praktyka demokracji zawodzi oczekiwania coraz większej liczby osób, zwłaszcza młodych. Otóż jestem głęboko przekonany, i niech to będzie wyznanie wiary, że energia i zasoby ideowe potrzebne do takiej odnowy znajdują się nie po stronie partii ani państwa, lecz po stronie tego społeczeństwa, które samoorganizuje się dziś poza formalnymi instytucjami systemu.

Gdy 4 czerwca 1989 roku Polacy w pierwszych od kilku pokoleń niesfałszowanych wyborach odrzucili zbankrutowaną dyktaturę realnego socjalizmu na rzecz „Solidarności”, część społeczeństwa zareagowała euforycznie, część niechętnie, a część pogrzeżyła się w ciszy. Tylko nieliczni dociekali wówczas, co skrywa ta cisza, i co ujawnia ta euforia. Nic dziwnego, Polacy wychodzili z dyktatury, nie znając się jako zbiorowość. Dziesięciolecia braku wolności oraz reprezentacji politycznych, cenzura, odgórne fałszowanie historii i tłumienie społecznych pamięci, wszystko to sprawiło, że społeczeństwo było dla siebie nieprzejrzyste. Owszem, masowy ruch „Solidarności”, trwający od sierpnia 1980 do grudnia 1981 roku, pozwalał nam przyglądać się sobie w działaniu i organizowaniu się wokół wartości oraz publicznych celów, ale trwał zbyt krótko i zbyt silna była w nim potrzeba jednoczenia się przeciwko władzy, byśmy wraz ze sprzeciwem

zdołali wypowiedzieć w pełni także naszą różnorodność. Wielu społeczeństwo zdawało się homogeniczne, dziś niektórzy chcą tę rzekomą homogeniczność przywrócić.

Toteż czerwcowe wybory zapoczątkowały serię trwających do dziś niespodzianych wydarzeń społecznych i politycznych. Potężne i niekontrolowane zmiany władają od 1989 roku i ich zwolennikami, i przeciwnikami. To demokratyzacja i modernizacja. A właściwie: demokratyzacja i modernizacja, bo dokonywały się one i wciąż dokonują w zmiennym tempie w różnych grupach społecznych.

Polacy wchodzą w demokrację i na rynek

Rynek: wiara, nadzieje, rozpacz

Wolny rynek, fundament liberalnej demokracji, wprowadzony serią ustaw tzw. planu Balcerowicza², stał się źródłem społecznych szoków i zarazem zbiorowej wiary w sukces. Masowo upadały niewydolne i dotowane dotychczas przez komunistyczne państwo wielkoprzemysłowe fabryki, tradycyjne bastiony „Solidarności”. Robotnicy tracili pracę, szli na zasiłek dla bezrobotnych. Miało to wymiar nie tylko ekonomiczny, lecz także symboliczny. Większość buntów przeciw dyktaturze wychodziła z takich właśnie zakładów. Robotników otaczała legenda pogromców systemu. Toteż upadek i marginalizację klasy robotniczej w nowym systemie wielu uznało za dowód na to, że „Solidarność” zdradziła robotników.

Marny los stał się również udziałem wielkiej sieci Państwowych Gospodarstw Rolnych, ekonomicznie zafananych i pochłaniających potężne państwowe dotacje. Zostały zlikwidowane, a z setek tysięcy zatrudnionych pracowników jedynie część odnalazła się na wolnym rynku. Do dziś straszą w całej Polsce rozrzucone po polach blokowiska, których mieszkańcy w większości żyją z zasiłków, popadają w alkoholizm. Są trwale wykluczeni z systemu.

Ale jednocześnie nastał czas beneficjentów. Miliony ludzi rzuciło się w biznes. W spragnionym konsumpcji kraju symbolem wczesnego kapitalizmu stało się łóżko polowe z rozłożonymi na nim towarami: ciuchami, perfumami, konserwami, elektroniką, papierosami.

Handlowano wszystkim i wszędzie, i mozolnie dorabiano się, choć stabilność biznesową osiągnęła jedynie część. Obok drobnej działalności błyskawicznie wyrosły fortuny i spektakularnie upadały. Polacy, rzuciwszy się w konsumpcję, doświadczyli tego, co konsumpcja ostentacyjnie unaocznia: różnic majątkowych. Zaczęli też doznawać smaku przyszłości, bo w nowym ustroju przyszłość narodziła się jako dobitna obietnica poprawy losu, a jej widoczny przejaw stanowił wielki pęd do karier, bogacenia się i do edukacji. W poprzednim ustroju przyszłość była skurczona, pozbawiona wielkich nadziei; troszczono się przede wszystkim o teraźniejszość, o zagwarantowanie sobie i bliskim jakiejś takiej egzystencji. Co, zważywszy na to, że po kawałek mięsa, mydło czy papier toaletowy trzeba było odstać nierzadko godziny w sklepowych kolejkach, wymagało niemałych nakładów czasu i wysiłku. „Żeby nie było gorzej” – brzmiało smętne motto życiowe tamtej epoki. „Wszystko jest możliwe” – głosiły nowe czasy.

Rynek stanął w centrum życia. Błędem byłoby utożsamianie go jedynie z instytucją racjonalnej wymiany i z materialnymi oczekiwaniami. Wokół rynku skupiły się także wielkie społeczne nadzieje i mityczne wyobrażenia o powszechnym dobrobycie. Rozbudzali je zresztą politycy i media, przekonując, że gospodarka rynkowa sama z siebie na dłuższą metę przyniesie profity wszystkim, także tym, którzy wskutek upadłości bądź urynkowania licznych zakładów pracy stracili dotychczasowe podstawy egzystencji. Te perswazje zaczerpnięte przecież nie z własnych doświadczeń, lecz z lektur ekonomicznych, głównie ze szkoły Milтона Friedmanna, będącej wówczas na Zachodzie u szczytu sławy i potęgi, oddawały oczarowanie rynkiem polskich elit równie potężne, jak w przypadku wielkiej części społeczeństwa. Rynek zdawał się niezawodnym wehikułem unoszącym społeczeństwo w przyszłość. Bywało, jak w przypadku

niektórych liberałów i konserwatystów, ważniejszym niż sama demokracja.³

Rzecz jasna nie wszyscy popadli w to zauroczenie. Ale głosy krytyczne wobec rynku były wówczas słabo słyszalne. Traktowano je jak nostalgiczną pozostałość wiary w realny socjalizm. Albo, nierzadko, jak krytykę demokracji. Bo w zbiorowej wyobraźni przeświadczenia o rynku zlały się w jedno z przeświadczeniami o demokracji: rynek gwarantuje powstanie społeczeństwa wolnego, bogatego i sprawiedliwego, demokracja zaś ma stróżować, by nic w tym rynkowi nie przeszkadzało. Oczywiście, więcej w tym było retoryki niż praktyki. Planowi Balcerowicza, zwanemu nie bez kozery terapią szokową, towarzyszyły rozmaite osłony socjalne dla tych, którzy tracili pracę lub nie mogli jej znaleźć. Problem w tym, że polskie państwo socjalne, formalnie całkiem rozbudowane, było od początku niewydolne i nieracjonalne. Często pomoc docierała nie do tych, którzy najbardziej jej potrzebowali. Tak jest zresztą do dziś. Od ponad dwudziestu lat zawodzą próby sensownych reform polityki społecznej, choć starali się o nie choćby polityk tak legendarny, jak Jacek Kuroń, czy tak wpływowy za rządów lewicy, jak Jerzy Hausner. Duża bowiem część elit politycznych uważa państwo socjalne raczej za ciężący wymóg demokracji, od którego nie sposób się uwolnić – ale też nie warto się w nie angażować – niż za dogodny narzędnik społecznych zmian. Przeświadczenie, że państwo socjalne to jeden z fundamentów demokracji, wciąż jest słabo zakorzenione.

Bezradni i zaradni, czyli początki polskich populizmów

Gdy wskutek działania rynku Polacy zaczęli się sobie bacznie przyglądać, skonstatowali antagonistyczny podział na tych, którym się wiedzie, i tych, którzy w kapitalizmie nie znajdują miejsca. A ponieważ do jednych i

drugich docierały liczne komentarze świeżych, więc przepojonych neofickim duchem entuzjastów rynku, że bezradni w nowym systemie sami są sobie winni, podział ten tym łatwiej przybierał na sile. Przekształcał się niezradko w separację dwóch ludów, które patrzyły na siebie gniewnie i z wzajemnym niezrozumieniem. Oba te ludy, Polska zaradna i Polska bezradna, wykluczały się moralnie: „zaradni” uważali często „bezradnych” za pasożytów i nierobów, zżerających ich ciężko zarobione pieniądze, „bezradni” zaś widzieli po drugiej stronie złodziei i aferzystów. Te wzajemne stygmatyzacje zachowały nośność do dziś, wciąż zasilają politykę, a przede wszystkim zaowocowały odpowiadającymi im wersjami populizmów. W jednej populizm jawi się jako fałszywa namiastka brakującej solidarności społecznej: przygarnia pod swoje skrzydła bezradnych i wykluczonych. W innej wersji otrzymujemy populizm liberalny stanowiący erzac idei wolności jednostki i apologii przedsiębiorczości, jaką jest darwinizm społeczny. Kluczowa postać populizmu przegranych to Andrzej Lepper, ale zwiastunem tej postawy był Stanisław Tymiński, który pokonał Tadeusza Mazowieckiego, pierwszego premiera demokratycznej Polski, w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 1990 roku, zbierając lęki i rozczarowania transformacją, a w drugiej sromotnie przegrał z Lechem Wałęsą.⁴

Wałęsa, legendarny przywódca „Solidarności”, słusznie uchodzi za jednego z ojców założycieli polskiej demokracji, ale jest też ojcem założycielem współczesnego polskiego populizmu. W kampanii 1990 roku atakował elity za zdradę interesów ludu, siebie kreując na jego zbawcę. Pokrzywdzonym obiecywał pieniądze i służące im nowe porządki, beneficjentów przemian zapewniał, że ułatwi im działalność. Nie stronił też od akcentów antysemitycznych, choć nie jest antysemitą. Już jako prezydent (1991-1995) żądał dla siebie nadzwyczajnej władzy, by skończyć z podziałami oraz kłótniami i

wyprowadzić Polskę na prostą. Przedstawiał bowiem siebie jako jedynego rzecznika interesów narodu. Politykę widział wtedy jako rodzaj klatki z małpami, którą co rusz chciał potrząsać, by korzystać z tego, że się tam gryzą. A korzystał, przeciwstawiając siebie politykom i polityce. Ale, dodam dla sprawiedliwości, w swych działaniach nigdy nie wszedł na drogę prowadzącą do autorytaryzmu, z której zbiorowość musiałaby go zawracać. Rozpychał się w demokratycznych prawach, czasem brutalnie je nagiął, lecz ich nie unieważniał. Stworzył jednak figurę przywódcy-gospodarza, który sam najlepiej uporządkuje swoje polskie gospodarstwo, bez korzystania z opinii innych wprowadzających jedynie bałagan. Figurę przywódcy mającego uprzywilejowane kontakty z ludem. Ta jego kreacja wciąż jest przedmiotem zazdrości i aspiracji wielu polityków, silniej nawiązuje do niej Jarosław Kaczyński, słabiej Donald Tusk.

Jednak emblematyczną postacią polskiego populizmu jest Andrzej Lepper, bohater spektakularnej kariery i równie widowiskowego upadku, sprawca wielu skandali i retorycznych, i kryminalnych. Jego ruch Samoobrona, założony na początku lat dziewięćdziesiątych, gromadził głównie rolników, którzy popadli w długi, bo nie byli w stanie spłacać kredytów z powodu masowego importu tańszego zboża z zagranicy. Lepper zaczął od blokowania dróg i wysypywania importowanego zboża z pociągów. Szybko zainteresowały się nim nie tylko sądy, lecz także media i politycy. Szybko też ewoluowała jego retoryka: pierwotną, antyrynkową i skierowaną przeciw rządzącym elitom, wzbogacił o nacjonalizm, ksenofobię oraz antyeuropejskość. Pojął, że w Polsce, by zostać usłyszanym, nie wystarczy przedstawiać się jako ofiara rynku. Trzeba jeszcze swój status ofiary zakorzenić w ideologii nacjonalistycznej. Już jako obrońca całego narodu przed zakusami elit wszedł do Sejmu w 2001 roku, wprowadzając ponad pięćdziesięciu posłów (na 460) i nowe obyczaje. Obelgi i

pomówienia płynące szerokim strumieniem z sejmowej trybuny, blokowanie obrad – to wkład Samoobrony do kultury parlamentarnej. Inne partie głośno Leppera wyklinały, ale po cichu z nim flirtowały, Samoobrona osadzała się w życiu politycznym. A wraz z nią osadzały się także jej obyczaje.

Właśnie Kaczyńskiemu zawdzięczał Lepper największy wzlot i najgłębszy upadek. Po wyborach wygranych w 2005 roku PiS, by rządzić, musiał znaleźć koalicjantów. Zadał się więc z Samoobroną i nacjonalistyczną Ligą Polskich Rodzin a Leppera awansował na wicepremiera. Tyle że Kaczyński potrzebował nie Leppera, lecz siły, jaką dysponowała Samoobrona. Jego ekipa uknuła intrygę przeprowadzoną przez tajne służby, by wicepremiera Leppera zdemaskować jako łapówkarza i aresztować. Intryga nie wypaliła, ale Kaczyński wyrzucił Leppera z rządu, koalicja się rozpadła; w przyspieszonych wyborach w 2007 roku wygrała PO. Karierę Leppera zakończyła nie tylko ta intryga, lecz także afera kryminalna: gdy jeszcze opływał w zaszczyty, wyszedł na jaw obecny w tej partii proceder wymuszania na młodych kobietach seksu w zamian za pracę. Lepper zniknął z polityki, w 2011 roku popełnił samobójstwo, a jego populizm przejął i domknął ideologicznie PiS.

Populizm liberalny nie ma tak malowniczych ani mocnych postaci, jest z oczywistych względów mniejszociowy. Nie przejawia się w formie haseł politycznych ani nie pojawia jako wyrazisty program. Nawet w Polsce, gdzie rekrutacja elit politycznych wciąż bywa przypadkowa i błyskawiczna, brakuje dziwaków, którzy walczyli o wyborców, otwarcie mówiliby o darmożjadach czy pasażerach na zasiłkach dla bezrobotnych. Brakuje, poza jednym przypadkiem: Janusza Korwina-Mikkego, polityka zawsze marginalnego, skrojonego na wzór malowniczych ekstremów Tea Party, aczkolwiek uwodzącego w latach dziewięćdziesiątych niemało ludzi młodych i

przedsiębiorczych. W jego wersji mamy do czynienia z permanentną konfrontacją społeczeństwa z „socjalistycznymi” elitami i „socjalistycznymi” państwem pasożytniczym na przedsiębiorczości i pracy jednostek. Według Korwina-Mikkego państwo powinno utrzymywać jedynie wojsko, policję i granice. Wszystko inne ma zależeć od ludzkiej aktywności zapośredniczonej przez rynek. Te przekonania poprowadziły Korwina-Mikkego do radykalnego sprzeciwu wobec UE, oskarżanej, jakżeby inaczej, że jest tworem bolszewickim.

Jednak częściej ów liberalny populizm dochodzi do głosu w miękkich postaciach; w publicystyce politycznej, wypowiedziach ekonomistów czy niektórych polityków przejawia się bardziej jako ton czy niedopowiedzenie, niosące jednak konkretną i zrozumiałą treść, niż jako program. A nazywam ową postawę populizmem, ponieważ łączy neoliberalną retorykę z wąską, wykluczającą definicją prawowitego ludu: to ci, którym się powiodło i nie muszą czepiać się państwa, by przeżyć. To są pełnoprawni obywatele, reszta jest zawadą. Tak się przejawia ekstremizacja wyobrażeń o normalności, której jedynym regulatorem ma być rynek.

Polskie populizmy mają oczywiście głębsze korzenie, ich artykulacje wyrastają z przeszłości, przerabiając na swoją modłę niegdysiejsze wzory zbiorowych zachowań i sposobów widzenia rzeczywistości. Zresztą, populizmy i przeszłość oświełają się nawzajem. Bo obok oczywistej kwestii, jak to, co było, wpływa na kształt populizmów i na ich skuteczność, pojawia się pytanie o samą przeszłość: co takiego siedzi w tych jej nurtach, które dziś służą za wehikuł populizmu, oswajający go ze społeczeństwem?

Nieufność do państwa i jego elit oraz naród we wspólnej i ustawicznej walce o przetrwanie, czyli trwały podział i zarazem trwałe oczekiwanie jedności narodowej – to podstawowe figury historii, warunkujące się wzajemnie, które dziś ożywiają nasze populizmy. Przyjrzyjmy się im

niewo. Przywykliśmy sądzić, że owa nieufność do państwa, władzy, karier politycznych i w ogóle polityki bierze się z doświadczeń komunizmu. Owszem, PRL wzmocnił te postawy, bo zarówno w okresie stalinowskiego totalitaryzmu, jak postalinowskiej dyktatury, większość społeczeństwa, choć przystosowała się do życia w tym ustroju, nie uważała go za własny. W to puste miejsce wszedł Kościół katolicki, oferujący – niezależnie od wiary – to, czego nie dawało państwo: poczucie narodowej tożsamości i przynależności, ciągłość tradycji, fałszowanej i niszczonej przez reżim, duchowy i instytucjonalny autorytet. W tym sensie Kościół stanowił zastępcze atrybuty państwa w ramach dyktatury. Apogeum tej roli Kościoła nastąpiło podczas wizyty Jana Pawła II w Polsce w 1979 roku. Miliony uczestników mszy papieskich i kilkanaście milionów, które te msze oglądały w telewizorach, tak wierzący, jak niewierzący, ujrzeli, gdzie spoczywa władza symboliczna i perswazyjna. Właśnie w Kościele. Stąd liczne przypadki, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, ludzi niewierzących, lecz praktykujących religijne obrządki.

Ale ta siła i sprawność w budowaniu i utrzymywaniu podziału na naród i państwo nie wzięła się jedynie z PRL-u. Źródła tego są starsze, sięgają rozbiórów Polski, dokonanych w końcu XVIII wieku przez trzy ówczesne potęgi: Rosję, Prusy i Austrię. Właśnie w XIX wieku, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, najbardziej autokratycznym i obcym cywilizacyjnie, kształtowały się ramy pojęciowe i postawy służące wtedy trwaniu narodu oraz budujące jego akty oporu, a dziś zasilające populistycznych demagogów. Przede wszystkim ów podział na upominający się o suwerenność naród i opresyjne państwo, czyli na „my” i „oni”, stanowił barierę niepozwalającą zbiorowości rozplątać się w nieprzyjaznych strukturach. Respektowanie tego podziału było świadectwem patriotyzmu, naruszenie go groziło społeczną anatę. Utrwalało ten podział jeszcze to, że polska zbiorowość, pozbawiona systemowych

reprezentacji politycznych i społecznych, budowała reprezentacje alternatywne. Autorytety moralne, pisarze, kombataneci spraw polskich, spiskowcy, społecznicy, emigranci stanowili zastępczy parlament kształtujący opinię i normy postępowania. W drugiej połowie XIX wieku do tego zastępczego parlamentu dołączył Kościół; to ważne źródło jego późniejszej siły.

Z budowaniem separacji między narodem a państwem sprzęgł się postulat jedności narodowej, obfitujący w dyskursy i symbolikę. W tym wołaniu przejawiała się, rzecz jasna, słabość narodu przegranego, który szuka sposobów, by odmienić swój los na lepsze. Przykaz jedności i zbiorowego heroicznego poświęcenia dla ojczyzny w powstaniach czy konspiracjach stanowił zastępczą formę polityki kształtującej wyobrażenia i normy zbiorowości, gdzie indziej budowanych w dużej mierze przez parlamentarizm. Była to zresztą polityka tyleż wzywająca do czynu, co pocieszycielska, oferująca zbiorowości mesjanistyczną wizję narodu jako zbawcy świata.

Ta stawka na jedność i szukanie remediów na podległość sprawiła, że nowoczesny nacjonalizm łatwo zakorzenił się w Polsce. Stał się w końcu XIX wieku jednym z podstawowych, obok ideologii lewicowo-demokratycznych, odniesień epoki. Ów nacjonalizm ujmujący w spójną doktrynę ksenofobię i antysemityzm, absolutyzujący jedność i dyscyplinę narodową przy lekceważeniu praw jednostki, stanowi, wraz z jego późniejszymi faszyzującymi mutacjami w latach trzydziestych XX wieku, podwalinę współczesnej mowy nienawiści, cechującej autorytarne populizmy. Wzmocnioną i wzbogaconą w PRL-u przez propagandowe wzory rozprawy z przeciwnikami. To nie znaczy, że wszyscy populisci są antysemitami czy rasistami, bo akurat Jarosław Kaczyński jest wolny od tych uprzedzeń. Ale oznacza to, że są gotowi te uprzedzenia wykorzystywać w walce o władzę. I co nawet ważniejsze, jedna z głównych polskich tradycji podsuwa im wzory polityki autorytarnej.

Tradycja nacjonalistyczna stała się zresztą tak silna w dużej mierze za sprawą reżimu komunistycznego. Od XIX wieku i jeszcze w latach trzydziestych wieku XX nacjonałiści, wspierani przez Kościół, prowadzili wielką batalię o społeczeństwo z socjalistami. Komunizm nie tylko skompromitował tradycje lewicowe, lecz także je amputował, cenzurując ich antytotalitarne wcielenia. Toteż głównym nośnikiem tradycji – obok prywatnych pamięci – stał się właśnie Kościół. To on przenosił wzory polskości i patriotyzmu, nic więc dziwnego, że właśnie w PRL-u rozpowszechniła się, jak nigdy przedtem, utrwalona w XIX wieku formuła Polaka-katolika. Oznaczała ona, rzecz jasna, wbrew faktom, jedność tożsamości narodowej i wyznania religijnego. Ale, jak wiemy, fakty często ustępują społecznym przeświadczeniom. Polak-katolik łączący elementy nacjonalizmu, niechęci wobec „innych” oraz tradycji religijnej to jedna z figur populistycznej prawicy, obecna silnie także w partii Kaczyńskiego.

Ale również komuniści, pragnący społecznej legitymizacji, sięgali do wzorów przeszłości. I często przenosili te najgorsze: nacjonalizm i antysemityzm. Apogeum owego nacjonal-bolszewizmu nastąpiło w 1968 roku, gdy aparat komunistyczny za pomocą represji i antysemickich czystek pragnął nie tylko dokonać wewnętrznej rewolucji kadrowej i nie tylko stłumić niepokorną inteligencję, lecz także sprzymierzyć się ze społeczeństwem w najgorszych uprzedzeniach. Reżim nie zyskał prawowitości w oczach Polaków, ale udało mu się rozbudzić stłumione uprzedzenia. Dzisiejsze akty ksenofobii i antysemityzmu to więc nie tylko bezpośrednie dziedzictwo myśli nacjonalistycznej przenoszonej w Kościele, lecz także, i to w niemałej wierze, spadek po komunistycznej dyktaturze.

Jednak PRL wniósł w nasze czasy nie tylko nacjonalizm i antysemityzm, nie tylko autorytarne wzory uprawiania polityki, co również przydaje popularności ugrupowaniom populistycznym, jak PiS. PRL – powtórzmy

– wzmocnił także tradycyjną nieufność do państwa. Tamten ustrój oskarża się o trwałe wyniszczenie kapitału zaufania społecznego; w systemie zorganizowanego strachu, po odwilży w 1956 roku często zresztą niesuktecznego i nieszczelnego, ufało się bowiem głównie bliskim i przyjaciółom. Poniekąd prawda, ale daleko nie cała. Bo jeśli przyjąć banalne założenie, że zaufanie społeczne zależy od spójności społeczeństwa, od tego, czy ludzie identyfikują się ze sobą jako zbiorowość powiązana wspólnymi praktykami, wzorami i instytucjami, to pod tym względem dzieje Polski to historia utrwalonych społecznych nieufności.

To, co wciąż pozostaje chlubą polskiej przeszłości, czyli republika szlachecka, dająca każdemu szlachcicowi równe prawa obywatelskie, ograniczająca centralną władzę królewską i przez kilka stuleci tolerancyjna wobec mniejszości wyznaniowych, by nie powiedzieć religijnie indyferentna, ma też inne, bardziej mroczne oblicze. Bo choć szlachta licząca około 7 procent ludności cieszyła się wolnością, to inne stany, mieszczenie i chłopci, były w owej republice pozbawione podstawowych praw politycznych oraz, jak chłopci, czysto ludzkiej wolności. W zaborze rosyjskim poddaństwo chłopów zniesiono dopiero w drugiej połowie XIX wieku, wcześniej byli oni niewolnikami swych panów. Ba, sama szlachta wynajdująca, jak to było w ówczesnych zwyczajach, starożytne genealogie, wywodziła swe pochodzenie od Sarmatów, starożytnego ludu, który osiadł na późniejszych ziemiach polskich, by nimi rządzić.⁵ Mitem narodu szlacheckiego był zarazem mitem genealogicznej odrębności szlachty od chłopów i mieszczan. To poczucie odrębności, nawet obcości, trwało jeszcze w XIX i XX wieku, społeczeństwu brakowało więc zasobów społecznych i wzorów kultury, by mogło budować kapitał społecznego zaufania. Zwłaszcza w społeczeństwie w większości pochodzenia chłopskiego. Toteż PRL jedynie wzmocnił to zjawisko,

stowarzyszając je ze swoistym egalitaryzmem nie tyle operującym pojęciem dobra wspólnego, co podejrzliwie traktującym tych, którzy odstają od przyjętych norm obyczajowych czy majątkowych. Powiedziałbym, że to egalitaryzm koszarowy, a nie wspólnotowy. Właśnie owo przejawiające się wciąż poczucie stanowej odrębności oraz deficyt społecznego zaufania tworzą pustkę, która tym łatwiej wypełnia się populistycznymi mirażami jedności i solidarności.

Pozostaje pytanie, dlaczego różne wątki tradycji, jak heroiczna historia oporu przeciw ciemnościom czy budowanie zbiorowej świadomości zniewolenia i nadziei na zwycięstwo, które wspomagały niegdyś trwanie narodu, dziś często wspomagają trwanie populistycznych wodzów. Można odpowiedzieć lekko, że to tylko czysta instrumentalizacja przeszłości. Ale byłoby to stwierdzenie nader krzepiące. Bo właśnie w tych instrumentalizacjach wyłania się to, co na nie pozwala: kolektywistyczne spojrzenie na społeczeństwo, w którym prawa i aspiracje jednostek są drugorzędne wobec wymagań wspólnoty. Polska nie przeżyła w XIX wieku rewolucji liberalizmu; do 1989 roku, z krótkimi przerwami, choćby na dwudziestolecie międzywojenne, i w zmiennym natężeniu Polacy słyszeli, że naród wymaga lub ojczyzna oczekuje wysiłku albo ryzyka, albo poświęcenia życia. Ludzie słuchali tych wezwań lub, w większości, je omijali, ale wszystkich kształtowały te właśnie zbiorowe oczekiwania, zgodnie z którymi życie jednostki ma sens, o ile poświęca je ona narodowej całości. Gdy więc po 1989 roku nastąpiła liberalna demokracja, gdy prawa jednostki i mniejszości stały się podstawą ustroju, sprzeciw wobec nowej rzeczywistości ubrał się w te dawne szaty. Naród przeciw rozpasanym jednostkom, mniejszościom i wiarołomnym elitom – w tej głównej populistycznej figurze współczesności dźwięczy przeszłość.

Spółeczeństwo milczących

Właściwie do kogo zwracają się populiści? Konstatacja, że do przegranych bądź wygranych, jest nazbyt prosta. Jedną z wielkich niewiadomych demokracji są ci, którzy milczą. Chcą wydobyć od nich głos partie demokratyczne, chcą powoływać się na nich ugrupowania populistyczne. Dopaść milczących – to stały fantazmat polityki demokratycznej, nierzadko przeobrażający się w politykę odrzucenia tych, którzy zdają się nieobecni. Tym to ważniejsze, że od początku III RP istniały rzesze ludzi ostrożnych, nawet nieufnych wobec nowych czasów, a, co więcej, na ogół powściągliwych także w ujawnianiu tej nieufności, więc eksplikacje ich postaw słabo funkcjonują w publicznym obiegu. Ich problem polegał i wciąż polega na tym, że ich rezerwa czy nieufność, ciągle obecne, są od z górą dwudziestu lat wypchane w fałszywe ideologiczne koleiny. A kłopot systemu, nas wszystkich, leży w tym, że ich postawy, źle rozszyfrowywane, silnie wpływają na życie polityczne.

Ale, rzecz jasna, w 1989 roku wszyscy doświadczali stanu pomieszania. Byliśmy oszołomieni i niepewni, co dalej – to najczęstsze wspomnienie dni czerwcowych 1989 roku, gdy „Solidarność” wygrała wybory i nikt jeszcze nie wiedział, ile pozostanie w Polsce komunistycznej dyktatury, a ile przyjdzie demokracji. Jasne było tylko to, że kompromis „okrągłego stołu”, między władzą a „Solidarnością”, rodzaj wynegocjowanej dwuwładzy, jest tymczasowy. Nikt jednak nie miał pojęcia, na jakie ustępstwa rządzący są gotowi i czy nie zechcą siłą odzyskiwać utraconych pozycji. A przede wszystkim nikt nie był w stanie jasno nakreślić przyszłości.

Jedna niewiadoma wyjaśniła się szybko, bo władze starego reżimu po absolutnym zwycięstwie „Solidarności” w wyborach 4 czerwca nie zamierzały twardo bronić swych pozycji, lecz przedstawiały się na zwykłą, choć dla nich – i dla wszystkich – nadzwyczajną parlamentarną grę sił.

Pozostawał jednak problem nie tylko niejasnej przyszłości, lecz także nieprzejrzystej teraźniejszości. Cóż bowiem znaczyło to, że 4 czerwca w plebiscycie – za dyktaturą albo za demokracją reprezentowaną przez „Solidarność” – zagłosowało ledwie 62,3 procent wyborców (w następnych wyborach było znacznie gorzej)? Dlaczego ponad jedna trzecia Polaków odmówiła udziału w jednej z najważniejszych decyzji politycznych w ich życiu?

Różne podawano wtedy przyczyny. Przede wszystkim, tłumaczono, gospodarka jest w ruinie, szaleje hiperinflacja, w sklepach brakuje towarów, więc ludzie zajmują się głównie tym, jak przeżyć, inne zaangażowania uważając za zbędny luksus. Mówiono też, że po dekadach życia pod komunistyczną dyktaturą, w której wybory były fikcją, wielu nie pojmuje znaczenia aktu wyborczego. Co często prowadziło do ogólniejszych wniosków o słabo rozwiniętej świadomości obywatelskiej społeczeństwa. Do tych argumentów o niszczyielskiej sile realnego socjalizmu dodawano inne, zbieżne z nimi. Ludzie pamiętają stan wojenny, który rozbił „Solidarność” i skonfiskował wolnościowe nadzieje Polaków; teraz, mówiono, obawiają się powtórki znanej już historii. Stąd ich powściągliwość. Zwracano również uwagę na to, że zlekceważenie wyborów stanowiło paradoksalnie akt wolności, może nierozumnej, lecz uprawnionej. Wcześniej bowiem władze nieprzychylnie patrzyły na tych, którzy korzystali z formalnego prawa do niegłosowania; wybory miały być zawsze masowym spektaklem poparcia władzy.

Wszystkie te komentarze pokazywały rzeczywiste problemy, ale jedynie na marginesie debat sytuowały się wyjaśnienia, które dziś pozwalają lepiej rozumieć późniejsze ewolucje społeczne oraz powody trwałej nieufności społeczeństwa do polityki. A wyjaśnienia te brzmiały z grubsza tak: czy doprawdy nowe czasy przyniosą więcej spokoju i bezpieczeństwa niż ta marna stabilizacja, w jakiej jakoś dajemy sobie radę?

Przejawiało się w tym pytanie ogólniejsze: czy wstępujące elity polityczne pojmują takie potrzeby?

Dwie dekady później tamte nastroje trafnie zrekonstruowała pisarka, wówczas czternastolatka, Julia Fiedorczuk. Tak pisze o lękach w tzw. normalnej rodzinie w czasie, gdy dokonywał się ustrojowy przełom: „Ojciec oglądał telewizję i gorączkowo komentował wypowiedzi polityków i dziennikarzy: chwilami cieszył się jak dziecko, ale było też wyraźnie widać, że bardzo się boi. Czego? Dopiero dużo później Anna miała zrozumieć, że ojciec bał się wolności: bał się, że mogłaby wstrząsnąć biedniutkim porządkiem, który stworzył dla swojej rodziny – dla »swoich dziewczyn«. »Moje dziewczyny« – tak nieraz mówił do nich przy kolacji, dumny z chleba i kiełbasy, dumny z fajansowych talerzy i kompletu mebli na wysoki połysk. »Moje dziewczyny« – to było zakłęcie człowieka głęboko wierzącego w świat, w sensowność dni i nocy, w fundamentalną przyzwoitość istot zwanych ludźmi. Był pewien, że wszystko będzie w porządku – ba, nie tylko w porządku, ale po prostu znakomicie – jeśli tylko zdoła swoim żarliwym optymizmem zarazić »swoje dziewczyny«. I przecież zdarzały im się – całej trójce – chwile intensywnej radości, szczęścia prawie, w stu procentach opartego na kłamstwie, którym podczas tych rzadkich okazji obdarowywali się nawzajem jak dziwne, socjalistyczne anioły”.⁶ Codzienny chleb z kiełbasą, tandetne meble i prząsny komplet talerzy – to były dla wielu rodzin atrybuty normalnego życia w bieda-socjalizmie. Zdobywanie ich na użytek rodziny – w gigantycznych kolejkach w sklepach lub po znajomości – stanowiło nie tylko źródło satysfakcji, lecz także swoistego poczucia godności. Ta codzienna batalia o przetrwanie w latach osiemdziesiątych zaprzętała w masowej skali więcej uwagi niż zmagania „Solidarność” z władzą.

W tych lękach i w tej nieufności kryje się bardziej istotna kwestia: uniwersalne wymogi życiowe, ale nade

wszystko wielopokoleniowe doświadczenia historyczne Polaków, wypełnione wojnami, okupacjami, przegranymi powstaniem, śmiercią i opresją, sprawiły, że poczucie godnej egzystencji stowarzyszyło się ze spokojem i stabilizacją, nawet we względnym niedostatku. Godność zyskała różne, nawet odrębne miary. Wciąż bowiem, zgodnie z tradycją i normami kultury, obowiązywał formalny etos walki o wolność i publicznego zaangażowania w imię prawdy, narodowej suwerenności czy praw obywatelskich. Ten etos najpełniej wyrażał się w ruchach opozycyjnych wobec komunistycznego reżimu. Jednak podskórnie trwał w społeczeństwie etos odmienny, przejawiający się w praktykach życiowych, lecz nieobjęty tradycją: etos chronienia bliskich przed wstrząsami i bólami świata zewnętrznego. Łatwo nazwać taką postawę drobnomieszczańską lub konformistyczną, lecz jeśli porzucimy wyższościowe moralizowanie, ujawni się to, co oczywiste. To etos przetrwania, w którym miarą własnej godności jest dbałość o najbliższych. I nieczynienie świństw innym.

Problem w tym, że ów etos przetrwania, choć rozpozszechniony, nie znajdował języka publicznego, w którym mógłby się w pełni wyrazić. Był obecny, ale niewidoczny jako zespół wartości. Dla sporej części elit sprzeciwiających się reżimowi komunistycznemu, a z nich rekrutowały się nowe kręgi władzy, ów masowy etos przetrwania był jedną z figur bierności czy nawet uległości społeczeństwa wobec dyktatury, stanowił przeciwieństwo obywatelskiego zaangażowania i patriotyzmu. Toteż od roku 1989, od początku budowy nowego ustroju, ten etos przetrwania, wyrażający się w lęku o przyszłość, w groźbie utraty tego, co fundowało poczucie godności, czyli panowania nad małym, wyznaczanym przez życiowe potrzeby rodziny skrawkiem egzystencji, był nader często uznawany za przejaw komunistycznej mentalności. Za hamulec nowych czasów.

Rodząca się demokracja nie miała jak uspokajać tych lęków, nowe czasy wstrząsnęły wszystkimi podstawami życia. O spokoju i bezpiecznej egzystencji nie było co marzyć. Ówczesne elity demokratyczne popełniły inny błąd: stygmatyzowały te postawy, utrwalając i powiększając dystans między tymi ludźmi a demokracją. Toteż lęki te wykorzystywali i pielęgowali inni: populiści, Kościół, opozycyjne partie polityczne, w tym postkomuniści. Dziś korzysta z nich głównie PiS Jarosława Kaczyńskiego.

Egzorcyzmy. Przeganianie komunizmu

Wytropić komunizm

Zamieszanie i niepewności początków demokracji sprzyjały temu, by wypatrywać wszędzie śladów komunizmu. Przeradzało się to nierzadko w obsesję, tym bardziej ekstrawagancką, że przecież wokół wszystko dogłębnie się zmieniało. Przeszłość ciążyła bardziej na ludzkim myśleniu niż na puszczonych w ruch mechanizmach zmian. Jeden z najgłupszych dowcipów tamtego czasu brzmiał tak: „Za dwadzieścia lat syn pyta ojca: – Tato, co to jest komunizm? – Synku, to jest to, co widzisz wokół siebie, tylko nie wiesz, że to się tak nazywa”. Dowcip ten zyskał sporą popularność, a wyrażał nie tylko pragnienie szybkich i radykalnych zmian, lecz także niewiarę w to, że komunizm może odejść tak łatwo, że może rozplnąć się w powietrzu. Niewiara ta obejmowała i system, i ludzi. Sławę zdobyła formuła: *Homo sovieticus*. Filozoficzny rys nadał jej ksiądz Józef Tischner, kapelan „Solidarności” w latach 1980-81, filozof i wzięty publicysta; według niego oznaczała ona człowieka zniewolonego przez komunizm, który od nowego liberalnego państwa domaga się takiej samej kurateli, jaką nieskutecznie ofiarowywał mu stary reżim.⁷ *Homo sovieticus* to zatem człowiek uciekający przed wolnością. Ta formuła tak się w Polsce zbanalizowała i rozpowszechniła, że wyłaniał się obraz społeczeństwa zniewolonego i zdemoralizowanego. Wytwarzało to groźny i nietrafny dystans między elitami świetnie zadowolonymi w liberalnej demokracji i tą, całkiem sporą częścią społeczeństwa, którą napawała ona lękami.

Jedni byli więc mądrzejsi i „lepsi”, inni wlekli się w ogonie przemian, nie pojmując obietnic nowej rzeczywistości – tyle niosła ta formuła stanowiąca dobry przykład symbolicznej dystrybucji władzy w liberalnych elitach.

Tak jak tropiono wówczas komunistyczną mentalność w społeczeństwie – dziś to zajęcie radykalnej prawicy bądź najtwardszych liberałów – tak też wielu dociekało, gdzie podział się sam system, jego instytucje, jego siła. Podejrzliwość wzmagła kompromis zawarty przy „okrągłym stole” i późniejsze bezkrwawe zmiany systemu. To, że komunistów nie przegnano z nowej Polski, lecz pozwolono im włączyć się do demokracji już jako partii socjaldemokratycznej, rozpalało spiskowe wyobraźnie. To zmowa elit, które tajnie ustaliły podział wpływów – brzmiała najłagodniejsza w tym gatunku ocena „okrągłego stołu”. Swoisty rekord w tym demaskatorskim wyścigu pobiła znana socjolożka Jadwiga Staniszkis, ogłaszając, że obalenie komunizmu w Polsce zostało przygotowane przez centralę KGB w Moskwie. W tej materii polskie dyskursy śmiało konkurowały z thrillerami Ludluma. Jak inne spiskowe wersje, także ta najbardziej absurdalna, że sowieckie służby zorganizowały pokojowy upadek komunizmu, by ocalić wpływy swoich ludzi w nowym ustroju, zakotwiczyła się w polskich wyobrażeniach. Powtarzano ją i rozwijano, wskazując, kto jest na sowieckiej, a później rosyjskiej służbie. A ponieważ zajmowały się tym głównie środowiska narodowej prawicy, wskazywano nie tylko pracujących w nowym systemie ludzi z dawnego aparatu państwowego, w tym służb specjalnych, nie tylko byłych działaczy partii komunistycznej, obecnie polityków socjaldemokracji, lecz także liberalno-demokratyczną inteligencję. Narodowa prawica oskarżała zwłaszcza te wpływowe osoby w demokratycznej Polsce, które po młodzieńczym okresie zaangażowania w komunizm w latach czterdziestych i pięćdziesiątych zerwały z nim, współtworząc demokratyczną opozycję wobec komunistycznego reżimu.

Zapewne najgoręcej czynił to Antoni Macierewicz, mający w biografii szlachetną kartę dysydenta i dużo mniej szlachetne poglądy. Od lat dziewięćdziesiątych pozostawał pod silnym wpływem faszystującej ideologii z lat trzydziestych XX wieku. Wsławił się wieloma wybrykami. Jako minister spraw wewnętrznych na początku lat dziewięćdziesiątych przygotował listę rzekomych agentów komunistycznych służb specjalnych działających w polskiej polityce. „Zdemaskował” wtedy prezydenta Lecha Wałęsę, marszałka Sejmu i zarazem szefa swej partii, wielu parlamentarzystów. Zasadne były przypuszczenia, że miał to być lustracyjny zamach stanu. Ale parlament, choć politycznie rozbity, obalił rząd, powstrzymując całą operację. Rząd odszedł w nieślawie, a demokracja krzepła w boju. Ponad dekadę później Macierewicz, ważny polityk w rządzącym PiS-ie Jarosława Kaczyńskiego, oznajmił że większość ministrów spraw zagranicznych III RP była sowieckimi agentami. Teraz uporczywie dowodzi, że prezydent Lech Kaczyński, brat bliźniak Jarosława, zginął pod Smoleńskiem w 2010 roku nie w przypadkowej katastrofie lotniczej, lecz w zamachu. A wszystkie te rewelacje wypowiada ze spokojem i pewnością człowieka, który właśnie ogłasza się Napoleonem.

Przywołuję tę postać z kilku powodów, nie tylko dla ucieśnej anegdoty. Macierewicz to obecnie ważna figura w populistycznej partii Kaczyńskiego, co pokazuje, jak silnie część polskich populizmów sprzęgła się z instrumentalizacją przeszłości. Wykluczanie przez przeszłość – to ich specyfika. Takie przedsięwzięcie wymaga pisania historii na nowo, zwłaszcza historii społeczeństwa w komunizmie. Toteż rozkwitł nurt pisarski oferujący w tysiącach publikacji jeden sposób sporządzania historii: opowieść o nieprawych, bo niepatriotycznych elitach. Odcinają się one od polskości, ba, zwalczają ją, ponieważ uległy sowietyzacji lub europeizacji. Bruksela jako nowa

Moskwa – to stały wątek tych elukubracji. To oczywiste reakcje na zmiany społeczne, pluralizację tradycji i tożsamości; im silniejsza jest wielość, tym mocniejsza obrona jedności. Ale kryje się w tym coś więcej: w polskiej polityce legitymizacja przez odwołanie do przeszłości konkuruje z legitymizacją przez przywoływanie przyszłości. Stosunki sił w tej konkurencji są zmienne, choć dotychczas na ogół wygrywała przyszłość. Jednak kwestia przeszłości najdobitniej ujawnia się w postawach radykalnych: w formacjach prawicy westchnienia czy odruchy, bo nie da się ich nazwać spójnymi myślami, rewindykują dla siebie przeszłość, a nie przyszłość. Chcą one zapanować nad historią, wyznaczając, co jest w niej prawowite, a co nieprawie. Niby nic nowego. To znana przypadłość europejskiej konserwatywnej prawicy załęcznionej, gdy demokratyzowały się ustroje: zmistyfikowane wizje przeszłości mają zastąpić przyszłość, czas nie tyle ma się cofnąć, bo przecież tej wyobrażonej przeszłości nigdy nie było, co zastępnąć według ideologicznych wyobrażeń o bezgrzesznej historii. Tyle tylko, że w Polsce te marzenia o anihilacji przyszłości jako niespodzianki i lokowanie „prawdziwej” Polski w wyobrażeniach przeszłości natykają się na kwestię komunizmu. Jak bowiem potraktować realny naród, który pośród nieczęstych momentów oporu i buntu całkiem nieźle przystosował się do życia w dyktaturze realnego socjalizmu? Jedną z możliwości to wybrać sobie inny, przekonując, że prawdziwy naród zginął pod okupacjami niemiecką i sowiecką, a istniejąca zbiorowość, niby-naród, została skutecznie zdemonializowana i otumaniona.

Dekomunizacja i lustracja, czyli młot na ludzi i przeszłość

Oczywiście, naród raczej nie dał się przekonać, że nie jest narodem. Co więcej, okazywał swą podmiotowość,

nieraz zatrważając elity z różnych obozów ideowych. Tak zdarzyło się w 1993 roku, gdy postkomunistyczny Sojusz Lewicy Demokratycznej (SLD) wygrał wybory. W kampanii wyborczej SLD brutalnie atakował reformy solidarnościowe, wykorzystując spadek poparcia dla nich. Oskarżał poprzednie rządy, że zaprowadziły w Polsce biedę (ten zarzut wejdzie później do kanonu populistycznej demagogii, twórczo rozwijał go choćby PiS w kampaniach). Wielu działaczy tej formacji głosiło, że dawny reżim, inaczej niż obecny liberalny, troszczył się o ludzi pracy. Dość zmian, trzeba rehabilitować PRL – przekonywali eseldowcy niespełna cztery lata po jego obaleniu. W formacjach solidarnościowych, od narodowców po liberalnych demokratów, zapanował strach. SLD nie ma moralnego prawa do rządzenia Polską – tak brzmiały łagodne komentarze. Czytaliśmy też, że grozi nam komunizm i powrót na rosyjską orbitę (wojska rosyjskie dopiero co opuściły Polskę). Sojusz replikował: politycy z „Solidarności” to oszołomy. Ten wojenny podział na solidarnościowców i postkomunistów przez lata zaciemniał polską politykę. Jednak Sojusz u władzy zapomniał o hasłach z kampanii. Spowolnił reformy, ale ich nie zaprzestał. Rozwijał stosunki Polski z Zachodem. Okazał się takim samym uczestnikiem demokratycznej polityki jak ugrupowania solidarnościowe, a dojście SLD do władzy stabilizowało demokrację. Dziesięcioletnia (dwie kadencje) prezydentura szefa SLD Aleksandra Kwaśniewskiego tylko to potwierdziła.

Ale im bardziej postkomuniści wrastali w system demokratyczny, tym częściej padało pytanie: gdzie jest nowe, skoro widać tyle starego? Psychologicznie dało się rozumieć ten niepokój, bo pejzaż polityczny i urzędniczy zaludniały postacie dawnego reżimu, czasem arcy podejrzane. Wszak SLD był partią wyboru biograficznego, a nie ideowego; choć gromadził garstkę tych, którzy jeszcze w latach osiemdziesiątych chcieli realny socjalizm

odnawiać, stał się w dużej mierze przytuliskiem dla ludzi dawnego reżimu ze wszystkich szczebli władzy. Było więc tam niemało konserwatystów, ksenofobów, antysemitów – jak w różnych innych ugrupowaniach posolidarnościowych. Wszystko to kłuło w oczy, lecz skutki przekształcania tego dyskomfortu w politykę okazały się dojmujące. Uaktywniła się specyficzna polityka historyczna, źródło wielu wykluczających radykalizmów. Polegała ona z grubsza na tym, by wprowadzić widowiskowe zerwania tam, gdzie biegły procesy. By wprowadzić rewolucyjne dekryty wtedy, gdy instytucjonalna rewolucja już się dokonała, a system demokratyczny się stabilizował. Chodzi o dekomunizację i lustrację, które miały zredefiniować przejście od dyktatury do demokracji: z procesualnego i kompromisowego na rewolucyjny i bezkompromisowy. A przy okazji, last but not least, dawały szansę na pozbycie się różnych konkurentów. Projekty dekomunizacji kotłowały się w Polsce od wczesnych lat dziewięćdziesiątych przez blisko dwadzieścia lat.⁸ Przewidywały zakaz pełnienia funkcji publicznych dla byłych funkcjonariuszy partii komunistycznej, niektóre obejmowały takim zakazem nawet działaczy partyjnych komórek w zakładach i na uniwersytetach. Biło to w część demokratycznej inteligencji, niegdyś partyjnej, a potem zbuntowanej. Klimat tych pomysłów oddawało prześmiewcze powiedzenie: ściąć pięciu, a potem wrócić do demokracji. Dekomunizacja, tak jak lustracja, silnie dzieliła ugrupowania i środowiska solidarnościowe, także demokratyczną inteligencję skupioną przy partii Unia Wolności (UW). Sprzeciwiali się takim zamiarom między innymi Jacek Kuroń, Tadeusz Mazowiecki, Adam Michnik, Bronisław Geremek, którzy chcieli budować demokrację dla wszystkich po to, by nie tworzyć jej przeciwników. Projekty dekomunizacyjne spełzyły na niczym, ale nie z braku chętnych, żeby je realizować, i nawet nie dlatego, że jawnie gwałciły demokratyczne

prawo. Przede wszystkim, siłą okazała demokracja. Integracja postkomunistów z systemem przebiegła na wszystkich szczeblach tak sprawnie, że nie było jak dokończyć takiego cięcia, byłaby to bowiem polityczna delegalizacja nie tylko licznych środowisk i polityków, lecz także milionów głosów wyborców.

Inną odsłoną dekomunizacji były masowe próby zmiany nazw ulic, jeśli miały one patronów kojarzących się z komunizmem, oraz wyrzucania „niesłusznych” pomników z miejsc publicznych. Nierzadko niezbyt wykształceni politycy chcieli rugować wszystkie nazwiska, które kojarzyły im się z PRL-em albo ogólnie z lewicą. Publiczność obserwowała więc z rozbawieniem przedziwne batalie, jak choćby o ulicę Ludwika Waryńskiego, polskiego socjalistycznego spiskowca z XIX wieku, który umarł w carskim więzieniu. Natomiast mieszkańcy dekomunizowanych ulic nie byli nazbyt zadowoleni z tego, że zmienia im się adres, bo musieli wtedy w urzędach wyrabiać nowe dokumenty. Wielu uważało też całą tę operację za zbędny i kosztowny luksus w niebogatym społeczeństwie. Dobitnie wyraził to pewien zawiany mieszkaniec Bogatyni, miasta na Śląsku: „Mnie to wali, gdzie piję: na Lenina, Stalina czy Gagarina. Po co to zmieniać po tylu latach.”⁹ Takie egzorcyzmy nasilały jedynie nostalgię za PRL-em, bo w przekonaniu wielu ludzi ich prywatnym pamięciom, cóż z tego, że zły Polski, groziła odgórna konfiskata.

Ale największe namiętności wzbudziła lustracja, czyli poszukiwanie tajnych agentów komunistycznych służb specjalnych. Okazała się ona dogodnym narzędziem kompromitowania przeciwników politycznych oraz wyśmianym instrumentem fałszowania historii, zarówno tej wielkiej, zbiorowej, jak i pojedynczych losów.¹⁰ Zwłaszcza, że Instytut Pamięci Narodowej (IPN), zajmujący się lustracją, obsiedli radykalni historycy, którzy podejrliwość wobec innych podnieśli do rangi historiozofii i zarazem

ślepo wierzyli w zapisy zawarte w teczkach tajnych służb, niepomni tego, że funkcjonariusze dawnego reżimu często pompowali raporty, by zasłużyć na premie i awanse. Toteż w lustracyjnych szarżach znikła prawda o tamtych czasach: o skomplikowanych, a bywało, że nieuchronnych, zwłaszcza przed 1980 rokiem, relacjach ludzi z władzą na różnych szczeblach. Wielu z tych, którzy robili kariery, wyjeżdżali za granicę, było skazanych na kontakt z władzą, czasem – pośrednio lub bezpośrednio – ze Służbą Bezpieczeństwa. Część donosiła bez skrępowań, część zachowywała się odważnie, liczni starali się nie szkodzić ani sobie, ani innym. To w relacjach z władzą – a nie poza nimi – wyznaczyli sobie granicę dzielącą uczciwość od nieprzyzwoitości. W polityce IPN-u ta szarość szerniała. Spotykałeś się i coś gadałeś, żeby się nie narazić – byłeś agentem. To dogmat IPN-u.

Jakże korzystny dla tych całkiem licznych młodszych polityków, działaczy, także naukowców, którzy chcieli wielkiej powszechnej lustracji, pełniącej funkcję rewolucji kadrowej wymierzonej w starsze pokolenia. Apogeum tych nadziei nastąpiło za rządów PiS-u, w latach 2005-2007, jednak Trybunał Konstytucyjny zmasakrował sporządzoną w tym duchu ustawę. Ale spróbujmy spojrzeć na lustrację także okiem łaskawszym. Liczni jej zwolennicy nie mieli złych zamiarów, chcieli zidentyfikować dawnych skrytych prześladowców, tych, którzy donosami szkodzili ludziom, zdradzali przyjaciół. Pragnęli też obnażyć zło. Inni z kolei, także bez złowrogich intencji, lecz z dużą dozą ślepoty, widzieli w nowej Polsce przewagę kontynuacji tego, co dawne. To w pewnej mierze oczywiste, niełatwo bowiem ujrzeć to, co nowe, w procesach społecznych, także tych burzliwych. Nowe kluje się w czasie, a wtedy rzucają się w oczy właśnie kontynuacje starych czasów. Nawet rewolucja francuska wydawała się na początku reformą monarchii. Toteż polscy niecierpliwcy pragnęli za pomocą lustracji „ulepszyć”

demokratyzację społeczeństwa, uczynić je bardziej przejrzystym. Ponieważ lustracji od początku towarzyszyło wiele intencji politycznych i prywatnych, zapewne drugorzędny jest fakt, że prawdziwych złowrogich agentów odkryto całkiem niewiele. Był też czas, gdy lustracja mogła zagrozić stabilności państwa i demokracji, dziś może powodować jedynie indywidualne dramaty.

Demokracja i jej demokratyzacje

Demokracja: kontestacje i separacje

Od narodzin polska demokracja wywoływała i entuzjazm, i bunt. Tyle że entuzjazm przynosił nie tylko wsparcie dla zmian, lecz owocował także podejrzliwością wobec nich, bo wielu szczerych demokratów obawiało się, że nieokreślone przeobrażenia zagrażą świeżej demokracji.

Ujawniło się to wyraźnie w latach dziewięćdziesiątych, gdy kiełkowały niszowe wówczas ruchy feministyczne, ekologiczne oraz upominające się o prawa mniejszości seksualnych. Również dość nieśmiało ujawniające się wtedy nowe formuły sztuk wizualnych i teatru, operujące przekroczeniami obyczajów i tabu, wzbudzały sporo nieufności. Wszak demokracja ma być zbiorem jasnych, stabilnych reguł, a nie wiecznym eksperymentem i przekroczeniem – sądziło tak wielu liberalnych demokratów. Dziś łatwo uznać te poglądy za anachroniczne już wtedy, gdy dochodziły do głosu. Zresztą ich anachronizm potwierdziła ewolucja systemu, pokazująca dobitnie, że demokracja jest ustawicznym ruchem, że musi się zmieniać, by trwać. Ale wtedy, pamiętajmy, brakowało pewności, że demokracja liberalna przyjmie się w Polsce i okrzepnie. Pośród tych obaw zastanawiano się, jak ją stabilizować, a nie – jak ją rozruszać.

Także sprzeciwy wobec nowego ustroju miały i wciąż mają rozmaite oblicza i cele. Jedni negują demokratyczne zasady, zwłaszcza ducha demokracji liberalnej, sięgając do najłatwiej dostępnego języka protestu, czyli do dyskursów narodowo-katolickich. Nieważne, czy

Polska będzie demokratyczna, ważne, żeby była katolicka – deklarował w latach dziewięćdziesiątych pewien poseł z trybuny sejmowej, a wypowiedź ta nie wzbudziła dezaprobaty w szeregach jego partii. Choć niezbyt subtelnie, poseł ów dotknął sedna, sporządzając hierarchię wartości. Demokracja, owszem, ale tylko, jeśli nie naruszy tradycji, wiary czy mitycznego „ducha narodu”. Jeśli nie będzie oddziaływać na praktyki społeczne i obyczaje. W tej wersji demokracja ma przypominać odmalowaną fasadę zrujnowanego domu: można pokazywać, że istnieje, lecz nie sposób w nim mieszkać. Oczywiście, nie wszystkie formuły tego sprzeciwu wobec demokracji emanują tak otwartą szczerością, ale nawet w subtelniejszych postaciach wąsko określane cechy zbiorowości – religia katolicka czy naród jednej tradycji lub odwiecznych obyczajów – stają się znakami przykazu dla wszystkich. Naród jako pluralistyczna wspólnota wielu tradycji, pamięci i praktyk społecznych – tę lekcję wielka część polskich konserwatystów ma dopiero przed sobą. Właśnie te konserwatywno-autorytarne formuły zbiorowości, oparte na wywyższaniu i uświęcaniu narodu, nadają oblicze wielu polskim populizmom, nawet tym, które zaczynają karierę jako ruchy czysto plebejskie i nastawione na ekonomiczne rewindykacje, krzepną zaś jako ruchy nacjonalistyczno-autorytarne, przeciwne zmianom cywilizacyjnym, jak Samoobrona Leppera.

Obok tych postaw sprzeciwu coraz silniejsze, zwłaszcza w ostatniej dekadzie, stają się inne kontestacje. Z grubsza rzecz biorąc, chodzi w nich o naprawianie czy przekształcanie demokracji, a nie o jej demolowanie. Zdaniem tych krytyków, demokracja jest wciąż w niedorozwoju lub na fałszywej ścieżce. W niedorozwoju, bo rozmaite mniejszości, głównie płciowe, oraz kobiety wciąż dobijają się o swoje prawa. A fałszywa ścieżka przejawia się w niedostatecznej dbałości o równość i sprawiedliwość społeczną. To są obecnie główne konflikty, tym wyrazistsze, im bardziej

kryzys uderza w rozbudzone aspiracje społeczne, zwłaszcza ludzi młodych. Niemały udział w tych bataliach – to nowe zjawisko – ma kultura jako narzędzie krytyki systemu i wehikuł edukacji obywatelskiej.

W dodatku konflikty te często rozgrywają się poza tradycyjnymi instytucjami demokracji, poza parlamentem, partiami, związkami zawodowymi. Elity polityczne, centralne i lokalne coraz częściej stają wobec spontanicznie samoorganizującego się społeczeństwa, jak w przypadku protestów przeciw ACTA. Konsekwencje są doniosłe. Nie tylko ugruntowuje się pluralizm. Towarzyszy temu mechanizm przeciwny i nasilający się: organizowanie życia politycznego według zasady separacji, znamionującej słabość systemu. Sprzyjają temu cechy owego samoorganizującego się społeczeństwa obywatelskiego: jego rozproszenie i kapryśne używanie swej mocy oraz dystans do polityki i instytucji władzy. Ba, samo to społeczeństwo separuje się od siebie, co widać często, gdy środowiska upominające się o swoje interesy lekceważą choćby najśluszniejsze roszczenia innych, jeśli nie są nimi bezpośrednio zainteresowane. Ale najsilniej zasadę separacji wprowadzają partie. Słabnąc w relacjach ze społeczeństwem, skupiają się na pilnowaniu i podtrzymywaniu dotychczasowych wpływów.

Spektakularnie czyni to najsilniejsza partia opozycyjna, PiS Jarosława Kaczyńskiego. Nie mogąc od pięciu lat wrócić do władzy, bo przegrywa kolejne wybory, zakłada równoległe niby-państwo i niby-społeczeństwo, z własnymi elitami, obiegiem medialnym, miejscami kultu i symboliką. Również część biskupów Kościoła katolickiego nie uważa demokratycznego państwa za własne i pogrąża się w resentymentach oraz nostalgii za „prawdziwym” państwem katolickim. To odseparowanie znajduje wyraz w oskarżycielskich dyskursach pod adresem państwa, elit, społeczeństwa. Postawę tę symbolizuje ojciec Tadeusz Rydzik, charyzmatyczny zakonnik,

który skupił wokół siebie ponad milion wiernych, władza własnymi mediami i wyższą uczelnią. Jego ksenofobiczne i wrogie demokracji wypowiedzi rozbrzmiewają w całej Polsce, za nim zaś podążają liczni księża i biskupi, przekonani, że w ten sposób ocalą siłę Kościoła.

Codziennie rozbrzmiewają więc głosy, że Polska jest zrujnowana, społeczeństwo w biedzie, rządzą nieudacznicy i złodzieje. Rząd i liberalne elity niszczą opozycję, chcąc ją wyeliminować z życia publicznego, mamy zatem pełzający zamach stanu, by wprowadzić rodzaj miękkiego totalitaryzmu („Nie zabijajcie nas” – wołał, po zamordowaniu przez szaleńca lokalnego działacza PiS-u, znaczący polityk tej partii w kampanii przed wyborami samorządowymi w 2010 roku). Tak głosi PiS wspierany przez około jedną czwartą wyborców. Nie inaczej ma się kwestia polityki zagranicznej. Według PiS-u Polska klęczy przed Moskwą i Berlinem, straciła niepodległość na rzecz kondominium niemiecko-rosyjskiego. A Unia Europejska to głównie narzędzie niszczenia polskości zgodnie z zamysłami lewicowych bądź lewackich elit. Bo w tej wersji większość polskich elit wywodzi się z narzuconego komunizmu lub z niepolskich tradycji lewicowych. Istnienie Polski im przeszkadza, chcieliby ją zlikwidować – jak to ujmuje duchowy przywódca tego nurtu, skądinąd wybitny poeta, Jarosław Marek Rymkiewicz.¹¹

Jasne, skrajność to agresywna figura bezradności. Poznawczej i politycznej. PiS, mimo pozorów siły, jest wobec społeczeństwa słaby i bezradny. Nie rozpoznaje jego potrzeb i aspiracji, chce narzucać własne. Słabość tego ugrupowania wyraża się choćby w tym, że redukuje naród do nielicznej mniejszości „prawdziwych Polaków”, by podtrzymać fikcję, iż jest partią wszystkich patriotów. Dodajmy jednak, że ta multiplikacja skrajnych przesłań świadczy o słabości nie tylko PiS-u, lecz także całego systemu.

Wszystkie kwestie publiczne stają się bowiem w partyjnej polityce polem walki, w której miarą zwycięstwa jest nie tyle sukces perswazyjny, co skuteczne podtrzymywanie podziału. Temu służy zwłaszcza polityka budowana na podstawie sondaży: gdy podziały się chwieją, partie wzmagają aktywność. Toteż kłótnie toczą się nie tylko o kwestie fundamentalne, jak państwo, rynek, kryzys, bezrobocie, zakres wolności, pozycja Kościoła w państwie, polityka zagraniczna, rola Polski w Unii Europejskiej, rozrachunki z przeszłością. Obejmują także zdarzenia jakby wyjęte z almanachu życia bzdurnego, choćby wypowiedzi gwiazdek plotkarskich portali. Zasada separacji działa bezwzględnie. I doprawdy nie chodzi o to, że polityka zmienia się w karczemną burdę, bo to nie jest bolączka nader dotkliwa, w dodatku rozpowszechniła się w całym demokratycznym świecie. Gorsze jest to, że podział ten, narzucany i narzucający się medialną intensywnością, przykrywa inne podziały, nie mniej ważne i równie realne, lecz pozostające w utajeniu. Tak polityka rozpościera między sobą a społeczeństwem kolejną zasłonę, przez którą nie może dostrzec świata społecznego. Widzi dopiero wtedy, gdy ów świat eksploduje jej przed nosem. To zapewne najdonioślejszy w skutkach rodzaj separacji. Jak ujmuje to francuski filozof Marcel Gauchet, we współczesnej demokracji – dodam: także polskiej – społeczeństwo bezskutecznie szuka władzy, a władza ustawicznie rozgląda się za społeczeństwem i go nie odnajduje.¹²

Demokratyczne emancypacje

Nie od rzeczy jest więc pytanie: jakie siły rządzą w Polsce, skoro przebiegając świat polityki i społeczeństwa, odkrywamy tyle słabości? Powiedziałbym ostrożnie, że najsilniejszą władzą, choć rzecz jasna, nie jedyną, jest impuls demokratyczny. Wszędzie, w dużych miastach i

miasteczkach, nawet na wsi, ludzie odrzucają dotychczasowe hierarchie, normy, obyczaje. Pragną sami decydować o tym, jak mają żyć, niezależnie od wzorów funkcjonujących w ich otoczeniu. Bo wzory te czerpią w dużej mierze z europejskiego obiegu, z którym mają stały kontakt, głównie przez internet i rzesze emigrantów. Powiedziałbym, że często intensywniej uczestniczą w tej wymianie niż w swoich tradycyjnych obiegach. Ta rewolucja jednostek najlepiej ogarnia młodych, ale ingeruje w życie wszystkich ludzi. Także tych, którzy zazwyczaj pozostają niemi jako obywatele, choćby polską wieś, do niedawna ostoję konserwatywnych i patriarcalnych stosunków społecznych. We wsi na wschodzie Polski, którą znam jako tako, pewnego letniego wieczoru nieopodal miejscowego sklepu zgromadziło się przy piwie kilka kobiet i kilku mężczyzn w średnim wieku. Były to pary, ale nie było wśród nich ani żon, ani mężów. Wszyscy mówili „mój partner”, „mój partner”, „moja partnerka”, żyli w związkach nieformalnych, jeszcze niedawno nietolerowanych w ich otoczeniu, dziś już oczywistych. Część tych kobiet działa w ruchu AA (anonimowych alkoholików), organizując zajęcia dla żon alkoholików. Same tego doświadczyły w poprzednich związkach. To, rzecz jasna, tylko fragmentaryczne obserwacje, ale jeśli pozbierać te i inne podobne, wychodzi na to, że Polska uległa demokratycznym mikroemancypacjom. Wszechobecne, tworzą wielki podskórny nurt życia społecznego i utwierdzają – wolno, lecz konsekwentnie – grunt sprzyjający demokratycznym zmianom w skali makro.

Wszystko to nie oznacza nieuchronnego marszu demokracji. Wszak, co dobrze wiemy, nie ma historycznych nieuchronności, są tylko zmienne koniunktury, Polska zaś ma silne tradycje niedemokratycznej modernizacji, wykuwane i w czasach komunizmu, i w okresie międzywojennym, i w XIX wieku. A, jak się zdaje, autorytarna modernizacja, dziś kojarzona z chińskim modelem

kapitalizmu, zaczyna tworzyć niebezpieczną alternatywę dla modelu europejskiego państwa opiekuńczego. Można sobie wyobrazić, że pośród wielkich wstrząsów politycznych, ba, czemu nie, pośród rozpadu Europy, Polska zwróci się w stronę rozwiązań autorytarnych. Wyimaginowana „partia porządku” tkwi głęboko w polskich wyobrażeniach społecznych, posilają się tą figurą nie tylko populiści, lecz nierzadko także demokraci. Nic więc nie jest przesądzone, zwłaszcza że nawet najgłupsze i najbardziej niebezpieczne idee nie giną bezpowrotnie, tylko trwają w osłabieniu albo uśpione w ukryciu, aż wskutek zmiany koniunktur ktoś je wyciągnie na powierzchnię życia publicznego. Zdyscyplinować i uporządkować społeczeństwo – to jedna z takich dziś osłabionych idei. Ale i tak daje o sobie znać, choćby w kwestii mniejszości.

Spółeczeństwo mniejszości i jednostek

Czas mniejszości

Listopad 2011 roku, pierwsze posiedzenie Sejmu po wyborach po raz drugi wygranych przez PO. W sali obrad zasiadają posłowie nowego ugrupowania Janusza Palikota, byłego posła PO, biznesmena, między innymi Anna Grodzka, transwestytka, i Robert Biedroń, działacz ruchów gejowskich. Wśród posłów i posłanek innych partii żartom i śmiechom nie ma końca. Zbiorowy rechot towarzyszy wystąpieniu Biedronia, rechochce też premier, rechochce rząd. Śmiechy otaczają Grodzką. Sejm zobaczył mniejszość.

Dwadzieścia lat temu polska wolność została wywołana do bitwy w sprawie mniejszości i wciąż jej nie wygrała. Choć jedną z wielkich zasług nowej Polski było to, że od początku lat dziewięćdziesiątych przyznała prawa mniejszościom etnicznym i wspierała ich organizacje. Po raz pierwszy po dekadach opresji uzyskali wtedy głos polscy Ukraińcy, Żydzi, Białorusini, Niemcy. To było dzieło elit liberalno-demokratycznych (skupionych w dużej mierze w i wokół Unii Wolności) i ich punkt honoru, by tę palącą kwestię rozstrzygnąć jak najszybciej. Ale właśnie prawa i swobodny głos mniejszości wywoływały i wciąż wywołują silne konflikty owocujące narodowym wzmożeniem. Tym silniejsze, że układanie na nowo stosunków z mniejszościami przyspieszyło głęboką rewizję historii, co nieraz uderzało w prywatne pamięci. Polacy widzieli samych siebie jako naród zazwyczaj krzywdzony i zawsze niewinny. I rzeczywiście, historia ich nie oszczędzała;

okupacje, krwawe jatki, utraty majątków, opresje i niewola stanowiły niemałą część polskich losów. Toteż wydobywanie na światło dzienne także czarnych kart historii, gdy Polacy sami stosowali przemoc i opresjonowali swoich „innych”, niszczyło wzniosłą i pocieszycielską wizję narodu niewinnego.

Problem tkwił przede wszystkim w stosunkach z Żydami i Ukraińcami. Wielu oburzało przypomnienie ekscesów polskiego antysemityzmu, zwłaszcza przed II wojną światową, i jego trwałość aż do współczesności. Ale prawdziwy wstrząs wywołał Jan Tomasz Gross, polski socjolog mieszkający w USA. Jego esej *Sąsiedzi*¹³ opisywał zbiorowy mord na Żydach, mieszkańcach miasteczka Jedwabne, jakiego dokonali ich polscy sąsiedzi w 1941 roku. Rozpętało się piekło. Była to jedna z najbardziej zażartych, ale i owocnych debat w Polsce. Grossa oskarżano o fałszerstwo, o chęć upokorzenia Polaków, o antypolonizm właściwy różnym kręgom żydowskim. Ale gdy inni historycy potwierdzili z grubsza opis Grossa, a na dodatek wykryli inne przypadki podobnych polskich zbrodni, niewzruszona wizja czystego narodu zaczęła kruszeć. Ta i inne dyskusje o antysemityzmie w Polsce, o zbawczych i łajdackich zachowaniach Polaków wobec Żydów, zwłaszcza podczas niemieckiej okupacji, przeorały świadomość społeczną Polaków. Zmieniły ją także liczne debaty o stosunkach polsko-ukraińskich i gesty władz na rzecz pojednania. To, że Polacy dyskryminowali Ukraińców, tłumili ich aspiracje, zachowując się wobec nich jak kolonizatorzy, przestało być jedynie domeną wiedzy elitarniej. Pamięć o rzeziach dokonanych przez Ukraińców na Polakach w czasie II wojny światowej zyskała ich przyczynę: niechcianą obecność polskich „panów”.

Te ważne kwestie to tylko pojedyncze przykłady eksplozji pamięci etnicznych i lokalnych. Wciąż dochodzą do głosu odrębne historie i doświadczenia. Najwyraźniej widać to na Śląsku, regionie o silnych tradycjach

autonomicznych, gdzie nie tylko odrodził się po kilkudziesięciu latach ruch na rzecz autonomii, lecz kiełkuje także poczucie odrębności narodowej. Demokracja pcha Polskę w stronę narodu wielu historii. Ale kontra na ten proces jest potężna. Polega na takim mistyfikowaniu mniejszości, by przydać im maskę agresorów. Pamiętam znamiennej dyskusję sprzed kilku laty o wieszaniu krzyży w salach szkolnych. W państwowych szkołach to dominujący obyczaj. Na kompromisową propozycję, by obok krzyża wieszać symbole innych religii, ze strony szefa opiniotwórczej konserwatywnej gazety padła mocna odpowiedź: „Byłoby to zaprzeczenie polskiej historii”¹⁴ Autor konkludował: krzyż ma mieć wyłączność, bo za niego ginęli Polacy. Ta szalbiercza definicja narodu wyłącznie jako katolików, którzy w dodatku walczyli jedynie o swą religię, służy nie tylko mobilizacji własnych szeregów pod hasłem o nienaruszalnym katolickim narodzie. Powołuje ona do życia także wrogie mniejszości, które zamiast siedzieć cicho i być tolerowane, przyłączają się do europejskiej wojny miazmatów z Polakami. Stają się więc częścią wrogich zewnętrznych szeregów.

Zupełnie jak geje, których oskarża się o wywołanie wojny przeciw polskiej rodzinie oraz moralności i traktuje jak społeczny brud. I jak feministki, wciąż traktowane przez wielu jako obce polskiemu duchowi. Tak dzieje się, gdy mniejszość nawet samym istnieniem przypomina większości, że nie tworzy ona całego narodu ani społeczeństwa.¹⁵

Trzy lata temu wpływowy dziennik „Rzeczpospolita”¹⁶ opublikował głosy konserwatystów pod hasłem: „Ile praw dla mniejszości”. Uczestnicy tej niby-debaty z zadziwiającą jednomyślnością ogłosili, że mniejszości są dla Polski niebezpieczne. Według Janusza Kochanowskiego, dziś już nieżyjącego ówczesnego Rzecznika Praw Obywatelskich, mniejszości religijne, etniczne, seksualne, gdy upominają się o prawa dla

siebie, przyczyniają się „do niszczenia wizji społecznej harmonii i wspólnego dobra”. Według Jarosława Gowina, wówczas jedynie pośła Platformy Obywatelskiej, dziś ministra sprawiedliwości, mamy w Polsce rewoltę mniejszości liberalnej przeciw tradycji. Filozof Dariusz Gawin, uznany ideolog polskiego konserwatyizmu, przekonywał, że mniejszości seksualne „nie chcą uzyskać praw, lecz chcą zmienić kulturę i społeczeństwo. Co więcej, nie chcą nas jako większości przekonać, lecz chcą nas zmusić do zmian. A ponieważ są mniejszością, wobec tego posługują się w tej walce z większością czynnikiem zewnętrznym, czyli Unią Europejską”. Lokalna mniejszość przeistacza się w światową większość. I dybie na Polaków z pozycji siły. Wprowadźmy jednak nieco optymizmu. Ta produkcja wrogich mniejszości dowodzi słabnącej pozycji ideologów narodu rozumianego jako niepodzielna całość. Na dłuższą metę nic nie zatrzyma tego zmierzchu, prócz zorganizowanej przemocy, ale do tego brakuje na szczęście woli zainteresowanych. Zwłaszcza że samo społeczeństwo podążyło w innym kierunku: coraz intensywniej zrzesza się w trwałe oraz doraźne i ulotne mniejszości.

Tak bowiem przejawia się narastający napór obywateli na państwo i partie, gdy ludzie czują się zagrożeni albo lekceważeni czy pozbawieni wpływu. Spontanicznie organizują się wtedy poza dotychczasowymi instytucjami politycznymi. Są tysiące przykładów w Polsce, na szczeblu centralnym i lokalnym. Najbardziej znane to ruchy ekologiczne i kobiece.

W Europie ekologowie zaczęli kilka dekad temu w słabych rozproszonych grupkach, poza polityką, a w latach dziewięćdziesiątych nie tylko współzrządzili w kilku europejskich krajach, lecz, co ważniejsze, stworzyli wielką światową sieć ugrupowań, stowarzyszeń, inicjatyw. Także w Polsce ruchy ekologiczne, choć słabsze,

wymusiły surowszą politykę ochrony środowiska. Na forach ekologicznych nieustannie trwają debaty, do których może przystąpić każdy.

Siłą obrosły też ruchy kobiece zwalczające dyskryminację płci. Kilka dziesięcioleci temu w Europie i jeszcze niedawno w Polsce uważane za śmieszny margines, wprowadziły nowe obyczaje w polityce i życiu społecznym. W wielu krajach zarzut dyskryminacji kobiet jest jednym z poważniejszych. W Polsce ruchy kobiece stopniowo zyskują siłę, udało im się choćby wymusić ustawowy obowiązek umieszczania 35 procent kobiet na partyjnych listach wyborczych do parlamentu. A problem dyskryminacji kobiet wszedł do agendy politycznej.

Ale obok trwałych ruchów częściej mamy do czynienia z chwilową samoorganizacją niezadowolonych. Pisałem już o ogólnokrajowych protestach przeciw ACTA, ale są też liczne przykłady lokalne. W wyborach na burmistrza małego miasta kandydatka partii rządzącej (PO) usiłowała szantażem wymusić wybór, głosiła: jak nie wygram, rząd nie da pieniędzy. Tylko rozwścieczyła ludzi, niemal gremialnie zagłosowali przeciwko niej. W obliczu tych gróźb ludzie poczuli się obywatelami, którym odbiera się prawo do swobodnej opinii. Nie pomogło, że kandydatkę Platformy wsparły lokalne partyjne tuzy. Coraz częściej ludzie organizują się przeciw partiom lub obok nich, by pilnować własnego podwórka albo wprowadzać w obieg swoje pomysły.

„Tym, co zaprzepaszczone wśród katastrof dwudziestowiecznych rewolucji - pisała Hannah Arendt na początku lat sześćdziesiątych w eseju *O rewolucji* – była nadzieja na przekształcenie państwa, na nowy ustrój, który pozwoliłby każdemu z członków nowożytnego społeczeństwa egalitarnego stać się uczestnikiem w sprawach publicznych”. Bo treścią wolności jest „uczestnictwo w sprawach ogółu” [17]. Arendt zarzuca demokracjom, że z rewolucji na naszym kontynencie

zapamiętały głównie opresję przedstawianą jako rządy konieczności, a z tej w Ameryce - system władzy, który odsuwa obywateli od realnego wpływu na sprawy publiczne. Demokracje zapomniały o pielęgnowaniu ducha wolności. I o tym, że sam rozwój ekonomiczny do wolności nie prowadzi – napomina Arendt. „Kiedy wma-wiano nam, że przez wolność rozumiemy wolną konkurencję, niewiele robiliśmy, by zdementować to monstrualne łągarstwo – wywodzi Arendt – a bardzo często postępowaliśmy tak, jakbyśmy wierzyli, iż w powojennym konflikcie pomiędzy Zachodem a »rewolucyjnymi« krajami Wschodu chodzi wyłącznie o zamożność”¹⁸

Złym spadkiem rewolucji, według Arendt, jest także system partii politycznych. W Europie wszystkie partie cechuje „autokratyczna i oligarchiczna struktura, brak wewnętrznej demokracji i wolności, skłonność do totalizmu, pretensja do nieomyślności”¹⁹ Ten system nie sprzyja uczestnictwu obywateli w życiu publicznym: są oni jedynie reprezentowani, a reprezentacja obejmuje ich „interes bądź pomyślność, nie zaś ich działania i opinie”. Dlaczego? Bo opinii nie ma, „kształtują się one w procesie otwartej dyskusji i publicznej debaty, tam zaś gdzie nie ma ku temu okazji, może być mowa o nastrojach (...), ale nie o opiniach”²⁰

Arendt surowo oceniała współczesną jej, ale przecież i naszą demokrację, poddaną ludzkim ulotnym nastrojom i partyjnym aparatom, więc wyzbywającą się elit i autorytetów. Receptę widziała w przeszłości, w zniszczonej tradycji rad, które powstawały przy okazji rewolucji lub wielkich wstrząsów politycznych i były zawsze niszczone przez władze rewolucyjne lub antyrewolucyjne. Rady, spontaniczne ciała, gdzie w swobodnych dyskusjach wykuwały się najważniejsze opinie, miały być dla niej kuźnią obywateli i elit politycznych. To nostalgiczna utopia, zwrot ku niewskrzeszalnej przeszłości. Ale to, co przejawiało się w radach i stanowiło

dla Arendt kryształową postać polityki – równy dostęp do publicznej debaty wolnych obywateli – odradza się dziś w innej formie. Polska przeżywa rewolucję uczestnictwa w sferze publicznej oraz rewolucyjną zmianę sposobu kształtowania się elit. Dzieje się tak za sprawą dwóch procesów o równie nieodgadnionych konsekwencjach: radykalnej indywidualizacji społeczeństw i technologicznego przewrotu w zbiorowej komunikacji.

Ambicją mieszkańca Polski, jak wcześniej Zachodu, stało się kształtowanie własnej biografii niezależnie od zastanych autorytetów i instytucji. Własną biografię, niezależną od państwa i instytucji społecznych, budują nie tylko liczni działacze spraw lokalnych i globalnych, lecz nawet wykluczeni.²¹ Ludzie, którzy suwerennie wybierają własne zaangażowania, prywatne i publiczne, i przez łatwość porozumiewania się z innymi tworzą masowe sieci różnorodnych grup nacisku. „Państwo musi dziś odpowiadać na głosy wszelkiego rodzaju grup i mniejszości (...) a nie tylko dawnych organizacji w rodzaju związków zawodowych, Kościołów i mediów. Nawet sportowcy mają silne organizacje. Podobnie homoseksualiści, handlarze bronią, kierowcy, niepełnosprawni, rodzice, osoby uchylające się od płacenia podatków, rozwodnicy, ekolodzy, terroryści itd.” – mówił niemal dwadzieścia lat temu niemiecki pisarz Hans Magnus Enzensberger.²² Słowa te dobrze pasują do dzisiejszej Polski, a państwo i partie są równie nieprzygotowane na te zmiany, jak niegdyś na Zachodzie. Bo w znacznej mierze dzieją się one poza dotychczasową polityką i przeciw niej.

Stabnące państwo, wiedzące partie

Przez dwadzieścia lat przyzwyczailiśmy się do demokracji, w której państwo wyznaczało ogólne cele zbiorowości. Wprowadzanie rynku, reformy gospodarcze, wejście do NATO i Unii – w takich zamierzeniach państwo

wyprzedzało społeczeństwo, nadawało mu kierunki rozwoju w imię ogólnego interesu i uniwersalnych wartości, jak demokracja, prawa, sprawiedliwość i dobrobyt. Obywatele, wchodząc w życie publiczne, musieli się do tych wartości i interesów odnosić. Stawali się uczestnikami demokracji przez udział w tym, co ogólne i uniwersalne. Państwo mobilizowało ludzi, przewodziło społeczeństwu, wypełniając swe „naturalne” zadanie: oferowanie przyszłości. Wiara w przyszłość stanowiła jeden z dogmatów demokratycznego katechizmu. Tak było w Polsce przez kilkanaście lat po 1989 roku. Jednak ta postać demokracji właśnie przemija i to szybko. Demokracja z gwaranta funkcjonowania całego społeczeństwa i jego „większościowych” interesów zmienia się w strażnika praw jednostki i mniejszości. Rozkwitowi indywidualizmu, zbiorowemu pragnieniu emancypacji od narzuconych reguł i wyboru własnych towarzyszy zmierzch prestiżu zbiorowości i kryzys reprezentacji. Jej reprezentanci – politycy, eksperci, autorytety – gdy przydarza im się formułować podstawowe cele społeczeństwa i odwoływać do wyższych racji, coraz częściej mówią w pustkę.

Przejście do demokracji indywidualistycznej, długo niezauważane, wprawiło elity polityczne w stan pomieszania. To, co wydawało im się w demokracji najbardziej trwałe, czyli polityka oparta na systemie partyjnej reprezentacji, rozsypało się jak lepianka podczas tajfunu. Bo właśnie tajfun nowej postaci demokracji spustoszył nasze wyobrażenia polityczne i stosunki sił. Dość powiedzieć, że od kilku lat w parlamencie i w partiach nie odbyła się niemal żadna istotna debata polityczna bądź społeczna. Przeważają kłótnie lub jałowe deklaracje. Mamy więc niemy Sejm i rozdyktowane społeczeństwo, od którego politycy często czerpią idee i opinie, lecz sami niewiele do tych debat wnoszą.

Tę wielką przemianę polegającą na indywidualizacji społeczeństw i wywróceniu tradycyjnych relacji z

państwem wnikliwie opisywał kilkanaście lat temu, posługując się francuskim przykładem, Marcel Gauchet.²³ W Polsce zmiany idą w podobnym kierunku, choć obecny kryzys – wróć jeszcze do tego wątku – nasila pomysły polityków, zazwyczaj nieudane, jak przywrócić dotychczasowe mechanizmy władzy nad zbiorowością. Dziś wielki spór toczy się o to, czy państwo ma być głównie instrumentem społeczeństwa obywatelskiego. W tym konflikcie, obejmującym z jednej strony państwo i elity polityczne, a z drugiej coraz bardziej rozrzucone społeczeństwo, państwo stopniowo ulega. Coraz rzadziej formułuje zbiorowe cele polityki, a gdy to czyni, napotyka opór. Zadania polityki – takie jest współczesne, choć znane z przeszłości, demokratyczne wyznaczenie wiary – mają bezpośrednio określać obywateli. Ci zrzeszeni w trwałych grupach nacisku albo ci zraszający się przygodnie i wobec polityki nieufni. Tyle że takie społeczeństwo, gdzie każdy reprezentuje jedynie siebie albo swoje środowisko, ale nigdy całą zbiorowość, nie wytwarza całościowego obrazu samego siebie. Jest dla siebie nieprzejrzyste. Stąd zmierzch tej polityki, która ujmowała całość społeczeństwa. Fragmentarycznemu społeczeństwu odpowiada fragmentaryczna polityka.

Co więcej, to społeczeństwo w dużej mierze apolityczne. Gauchet, dostrzegając wolnościowy rozmach tych przemian i to, że sprzyjają one budowaniu społeczeństwa równych w wolności, z obawą analizuje zarazem, jak słabnie przekonanie, że polityka może zmieniać rzeczywistość. W społeczeństwach indywidualistycznych dominuje antypolityczność – wywodzi Gauchet²⁴ – rozmowy o polityce nie uchodzą, a gdy ludzie gromadzą się wokół jakichś spraw, stawiają bardziej na utwierdzenie lub poszukiwanie własnej tożsamości, a mniej na publiczne efekty akcji. Jasne, bywa inaczej, o czym już pisałem, społeczeństwo obywatelskie ma swoich wcale nie przygodnych rzeczników i działaczy. Ale jak na skalę zmian, jego

bezpośrednia skuteczność polityczna jest nikła. Do dziś nie potrafi skłonić rządzących, by przyjęli wielokrotnie obiecane prawo o związkach partnerskich, dające parom fundamentalne prawa wynikające ze wspólnego pożycia. Ba, nie jest w stanie nawet wymusić choćby przestrzegania prawa, na przykład wprowadzenia do szkół lekcji etyki równorzędnych i konkurencyjnych wobec lekcji religii. Nie powiodły się też liczne próby namówienia rządu do podpisania Karty Praw Podstawowych UE. Polska polityka jest bardziej konserwatywna niż jej wyborcy. Choć, dodajmy, niedawno społeczeństwo obywatelskie odniosło pewien sukces. Po latach nacisków rząd wprowadza – mimo radykalnego sprzeciwu Kościoła i PiS – na razie jako program pilotażowy, częściową refundację zapłodnienia in vitro. Ale uczynił tak, ponieważ wcześniej na takie rozwiązanie zdecydowało się, omijając centralne państwo, kilka samorządów lokalnych.

Spółeczeństwo pod krzyżem

Tę mieszaninę siły i słabości widać wyraźnie w konflikcie wokół katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem w kwietniu 2010 roku, gdzie wraz z licznymi politykami różnych partii i wysokimi urzędnikami zginął prezydent Lech Kaczyński, brat bliźniak szefa opozycyjnego PiS-u.²⁵ Konflikt, najbardziej spektakularny ze wszystkich od 1989 roku, rozgorzał jeszcze w trakcie oficjalnej żałoby, gdy PiS i część hierarchów Kościoła katolickiego postanowili pochować prezydenta na krakowskim Wawelu, symbolicznym miejscu pochówku królów i legendarnych przywódców. Krytycy tej decyzji uznali, że to bezpodstawne wywyższanie zmarłego prezydenta, polityka niepopularnego, zaściankowego i pozostającego, zgodnie z linią PiS-u, w totalnej opozycji wobec rządu, jest aktem przejmowania władzy nad żałobą i pogrążonym w niej społeczeństwem. „Chcieliśmy uszanować głowę państwa,

każe nam się czcić wielkiego polityka” – takie były w tych dniach liczne głosy. A ludzie krytycznie nastawieni do polityki Lecha Kaczyńskiego dowiadawali się od bliskich mu i PiS-owi publicystów, że są kanaliaми, bo atakowali najbardziej patriotycznego prezydenta. Potem było ostrzej. W PiS-ie wykiełkowała myśl, że całą winę za katastrofę ponosi rząd. To przekonanie szybko przerozdziło się w inne: prezydenta bali się i Rosjanie, i rządzący, premier knuje z Rosjanami, więc – nie katastrofa, tylko zamach. Pod Pałacem Prezydenckim w Warszawie gromadziły się tłumy zwolenników PiS-u i zmarłego prezydenta. Postawili oni krzyż, wokół którego odbywał się permanentny polityczny wiec przemieszany z modlitwami. Zgromadzeni skandowali pod adresem premiera i nowego lokatora pałacu, Bronisława Komorowskiego: „zdrajcy”, „do Moskwy”. Szef PiS-u regularnie odwiedzał wiecujących, stał się ich przywódcą. Część hierarchów Kościoła napominała zgromadzonych, że krzyż pod pałacem służy do celów pozareligijnych i należy go przenieść do kościoła, by mógł pełnić właściwą funkcję. Ale żaden z biskupów nie odważył się na taką konfrontację ze zgromadzonymi. Proboszcz pobliskiej parafii, który chciał przenieść krzyż do swego kościoła, został przegnany. Krzyż stał, a ów ukonstytuowany spontanicznie „lud smoleński” krzepł. Z czasem jednak jego czujność osłabła i udało się przenieść krzyż do pobliskiego kościoła. Ale zgromadzenia nie ustały: w każdą „miesięcznicę” katastrofy pod Pałacem Prezydenckim gromadzą się ludzie, a ich patronem pozostaje Jarosław Kaczyński.

Przyjrzyjmy się jednak dokładniej obrońcom krzyża, bo sprawa wcale nie jest prosta. Gromadzili się tam oni nie jako żołnierze partii czy służby Kościoła. Zaakceptowali wsparcie PiS-u i sami na ogół PiS wspierają, ale nie wchodzą w partyjne struktury. Śledzili reakcje hierarchów Kościoła, ale nie ich słuchali. Ba, to hierarchowie słuchali zgromadzonych. Kościół, zamiast, jak by to było

niegdyś, zbuntowanych wiernych zdyscyplinować, poszedł za ich głosem. Okazał się od nich słabszy. W Kościele zależności między wiernymi a hierarchią odwracają się, podobnie jak relacje między państwem i społeczeństwem. Zresztą, zaraz po katastrofie, jeszcze w dniach żałoby, niektórych biskupów uwiódł pomysł, by zmarły prezydent stał się patronem rekonkwisty tożsamości patriotyczno-katolickiej, nad którą Kościół mógłby sprawować pieczę. Ci hierarchowie padli ofiarą złudzenia, że skoro ludzie wypełnili kościoły, by modlić się za ofiary katastrofy, skoro aż tylu religijnie przeżywało żałobę, a sam Kościół stał się wtedy najważniejszym miejscem wspólnego wyrażania uczuć, to jego głos o tym, jacy mamy być, kogo powinniśmy słuchać i jakie ma być państwo, zostanie powszechnie wysłuchany. W tej kwestii Kościół poniósł porażkę. Większość wiernych nie uznała go za pożądanego patrona państwa i życia publicznego. Kościół osłabł jako siła społeczna do tego stopnia, że rząd może z nim wieść otwarty spór, co jeszcze kilka lat temu było nie do pomyślenia. Ludzie interpretują przykazy Kościoła po swojemu, wybierają z nich to, co im odpowiada – o tych tendencjach pisze się od lat. A przede wszystkim coraz częściej traktują wiarę jako własny suwerenny wybór, a nie dziedzictwo przekazane przez przodków. Wierni są równie „zindywidualizowani” co ludzie niewierzący. Nad wpisanie się w zbiorową tradycję Kościoła przedkładają własne poszukiwanie celów i tożsamości, jak właśnie demonstranci pod krzyżem.

Dziś w Polsce jedynym spójnym, całościowym i przyswojonym językiem buntu jest ten zaczerpnięty z ideologii narodowo-katolickiej, najpełniej przeciwstawnej teraźniejszości i najłatwiej instrumentalizującej przeszłość. To nie znaczy, że wszyscy ci, którzy taką mową się posługują, są szowinistami, ksenofobami, antysemitami. Owszem, wśród owego ludu jest takich sporo, ale są tam

również feministki, są ludzie przyjaźni mniejszościom etnicznym, są zwolennicy obecności Polski w UE. Są też ci, którzy czują się wykluczeni z pędzącej i wciąż zmieniającej się rzeczywistości. Gdy brakuje stabilnych punktów oparcia, gdy normy, zwyczaje i hierarchie stają się płynne, łatwo rodzi się potrzeba porządku, który by ten świat w ruchu zatrzymał. A ilu jest takich, którym brakuje zbiorowych emocji, wspólnego przeżywania, więc idą demonstrować pod Pałac Prezydencki? I znajdują tam nie własne poglądy, lecz poczucie uczestnictwa. Ilu przychodzi tam, bo chce odreagować lęki przed kryzysem, groźbą zubożenia czy utraty mieszkania w prywatyzowanych kamienicach? Ba, są tam nawet nieźle zarabiający pracownicy wielkich korporacji, czyli ludzie sprawnie działający w społeczeństwie i na rynkach. I tylko część wyznaje wiarę w autorytaryzm. Pcha ich do „ludu smołęńskiego” poczucie takich wykluczeń, które trudno ująć w twarde dane. Choćby to, że doświadczając różnych słabości państwa – a to, że doszło do katastrofy lotniczej, jest tych słabości symbolem – czują jego obcość.

Ich problem polega na tym, że w tej zamkniętej, nacjonalistycznej mowie są w stanie wyrazić gniew, lecz nie mogą już sformułować oczekiwań. Bo tylko części chodziło naprawdę o to, by Tuska wraz Komorowskim przegnać do Moskwy. Wielu w ten pokraczny sposób sformułowało rozpaczliwy i gniewny apel do państwa, właśnie do Tuska i Komorowskiego: pomóżcie żyć. Żyć lepiej, bezpieczniej, sprawiedliwiej – wszystko jedno. Pod krzyżem wywoływano także państwo jako arbitra i opiekuna jednostkowych losów. Tyle że często w plugawej mowie zastępczej, bo innej wspólnej mowy ci ludzie nie mają. Oczywiście, to tylko moje intuicje i obserwacje, nikt nie wie, jak złożona jest ta zbiorowość, bo nikt jej nie zbadał. Ale potwierdza je choćby manifestacja zorganizowana 29 września 2012 roku przez Kaczyńskiego i ojca Rydzika pod hasłem „Obudź się, Polsko”. Pośród blisko stu tysięcy

uczestników maszerowało wielu ludzi młodych i dobrze ubranych; była to manifestacja społecznie zróżnicowana, nie zaś pochód jednolitych szeregów.

Wynika jednak z tego, że uznawanie „ludu smoleńskiego” jedynie za niebezpiecznych oszołomów czy wrogów demokracji przeczy zdrowemu rozsądkowi. I pozwala także zlekceważyć lęki i rozczarowania, które pod Pałacem Prezydenckim przejawiają się radykalnie, ale w łagodniejszych formach ogarniają dużą część społeczeństwa. W dodatku to Jarosław Kaczyński pragnie najgorzej, byśmy w „ludzie smoleńskim” czy w ogóle we wszystkich jego zwolennikach ujrzeli jedynie radykałów, którzy chcą obalić system. Sam chciałby, żeby tacy właśnie byli: zjednoczeni i zdeterminowani. Tym, co wzmacnia przywództwo Kaczyńskiego, co ułatwia propagowanie fałszywych mitów o jedności zwolenników PiS-u, jest nieprzejrzystość jego „ludu”, który sam nie widzi swej różnorodności, więc przejmując od wodza swój zbiorowy wizerunek jako jednolitych szeregów. To zresztą jedna z głównych cech populizmu: czynienie społeczeństwa jeszcze bardziej nieprzejrzystym, niż jest naprawdę, i łudzenie go fałszywą przejrzystością.

Od niedawna niejaki zainteresowanie wywołują głosy²⁶, by partie oraz obywatelskie stowarzyszenia czy fundacje zaczęły kontaktować się z „ludem smoleńskim”, dziś odseparowanym od państwa i tworzącym rodzaj sekciarskiego zamkniętego ruchu. Ważne jest bowiem to, by ci ludzie zaczęli mówić własnymi językami o swoich sprawach. By wyszła na jaw ich różnorodność, a gniew na demokrację i państwo wyrażał się nie tylko w negacji, lecz niósł propozycję zmian. By ów zmistyfikowany lud przekształcał z niesłyszalnych fantomów w obywateli, nawet wściekłych. Uzyskałby on jakąś przejrzystość dla innych i samego siebie. Zobaczylibyśmy wtedy, ilu w tym obozie uważa, że demokracja ich opuściła i chcieliby ją przywołać do siebie, a ilu pragnie demokrację opuścić.

Jednak na razie głosy, by zadać się z „ludem smoleńskim”, to wołanie na puszczy. Nie dokona tego PO, bo postawiła na tych, którzy już zadomowili się we współczesności i nade wszystko boją się utraty tego, co mają. Czyli na tzw. normalnych obywateli o aspiracjach zwykłych dla społeczeństwa na dorobku. Nie robi tego też SLD przedstawiający się jako lewica, bo to ugrupowanie chce przede wszystkim wsparcia wyemancypowanej części społeczeństwa obywatelskiego. A i w tej części społeczeństwa nie ma koniunktury na takie akcje.

Widać to było podczas protestów pod krzyżem. Bo gromadzili się tam nie tylko jego obrońcy, lecz także kontrmanifestanci. Tysiącom ludzi przy krzyżu odpowiedziało tysiące innych, była to zbiorowość bardzo różnorodna, bez przywództwa, bez wspólnej symboliki ani jednolitego języka. Demonstrowali ludzie religijni i niewierzący, konserwatyści, liberałowie i lewicowcy. Jedni sprzeciwiali się nadużywaniu krzyża do akcji politycznej, inni wołali o mocniejsze państwo świeckie, część protestowała przeciw PiS-owi. Toteż nie przekształcili się oni w trwałe „lud”, nie stworzyli zbiorowego poczucia przynależności ani wspólnej sprawy. I co nie mniej ważne, choć sami tak różnorodni, w „ludzie smoleńskim” pod krzyżem ujrzeli jedynie własny stereotyp: jednolitą, wrogą masę. Dodam: z pełną wzajemnością. Ale zarazem dzięki owym kontrmanifestantom spektakularnie ujawniła się obywatelska energia świeckiego państwa demokratycznego. Na razie jednak wciąż rozproszona błąka się ona po polskiej polityce, nie znajdując dla siebie zbiorowej przystani.

Z jednym, lecz mało obiecującym wyjątkiem, jakim jest nowa partia Janusza Palikota, biznesmena, byłego posła PO. Palikota i jego ludzi wyniósł do Sejmu sprzeciw obywateli wobec państwa konserwatywnego i głuchego na różne oczekiwania oraz na problemy demokracji z Kościołem. Ale tę zainwestowaną w jego ruch

energię Palikot systematycznie przekształca w bulwarowy spektakl polityczny. Wskrajniona retoryka niestroniąca od obelg, demaskowanie hipokryzji establishmentu oraz polityki jako domeny szalbierstwa, księżycowe obietnice, jak „zero procent bezrobocia”, sprzeczne przesłania, gorączkowa zmienność „palących” tematów – wszystko to pokazuje, jak ruch, który pretendował do reprezentowania ważnej części aktywnego społeczeństwa obywatelskiego, reprezentuje swoisty marketingowy populizm.

W stronę demokracji populistycznej

Populizm nie wyróżnia jednak partii Palikota spośród innych, choć, przynajmniej, na polskim gruncie wybiła się ona na oryginalność. W Polsce, jak w całej Europie, rozkwitają populizmy władzy i opozycji, lewicowe i prawicowe, zainfekowane są partie środka i radykalne ugrupowania. Zresztą, populizmy towarzyszyły nowej Polsce od początku. Pisałem już o tym.

Jednak zmiana jakościowa i ilościowa nastąpiła w kampanii przed wyborami 2005 roku, gdy PO, PiS i nacjonalistyczna partia Liga Polskich Rodzin wspólnie ogłosiły rewolucję moralną, przedstawiając dotychczasowe państwo i jego elity jako szulernię, gdzie gromadzą się męty i złodzieje, oraz jako wytwór służb specjalnych i komunistycznej agentury. Był to sojusz chwilowy, bo jego zwornikiem były nie przekonania, lecz koniunktura na zwycięstwo. W ostatniej fazie kampanii PiS zaatakował PO jako liberałów nieczułych na los zwykłych ludzi i wygrał podwójnie: parlament i prezydenturę. Później dwuletnie rządy PiS-u z nagonką na różne środowiska, z przeciwstawiania złych i chciwych elit dobremu narodowi uczyniły kościec polityki. PiS już się nie zmienił, PO wyewoluowała w stronę miękkich postaci populizmu, charakterystycznych dla większości demokratycznych partii. Ale przede wszystkim od tamtych wydarzeń nikt

nie sądzi, że można uprawiać politykę bez populistycznych zabiegów. I bez populistycznej wyobraźni. Polityka stała się Midasem ułudy: wszystko, czego tknie, zamienia się w populizm.

Nasila się to, co istnieje jako możliwość demokracji: czerpanie siły politycznej z odwoływania się do ludu bądź narodu ponad zasadami państwa prawa. A także wzmożona fabrykacja „ludów”, by narzucać dogodne podziały i dogodne problemy. To, rzecz jasna, marna, ale realna odpowiedź na aktywizację społeczeństwa poza tradycyjną polityką. Przykładów jest bez liku. Gdy jakiś czas temu, po kolejnej burzy wokół pedofilii, premier Tusk zapowiedział, że Polska będzie kastrować pedofilów, łatwo było o wrażenie, że tym przestępcom odmawia on człowieczeństwa, a obietnica zemsty na krzywdzicielach służy mu do porozumiewania się z narodem. Gdy rząd po głośnych informacjach, że parę osób zmarło po zażyciu substancji stymulujących, tzw. dopalaczy, przeforsował w pośpiechu bublowaną ustawę o zakazie ich sprzedaży – za co przyjdzie zapewne płacić spore odszkodowania właścicielom sklepów – miało to poprawić społeczne nastroje, a nie prawo. Zresztą, nawet poważne kwestie i debaty grzęzną w populizmach, skąd, bywa, już się nie podnoszą. Jeszcze za poprzedniej kadencji rząd zdecydował, że część składek na emerytury przesunie z prywatnych funduszy emerytalnych do państwowego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Rozpętała się długa, merytoryczna i namiętna dyskusja z udziałem większości uznanych w Polsce ekonomistów; większość rząd krytykowała i merytorycznie, i demagogicznie. Zabrał głos także premier: krytyków tego posunięcia nazwał „pseudoekspertami”, a dyskusję próbował przemienić w spektakl, w którym po jednej stronie stoją marne elity, a po drugiej – przywódca i jego lud. Ten klimat i ton przenikają politykę rządzących. Wyraźny rys nadaje jej też to, co stanowi tradycyjne przesłanie populizmu: deklarowana niechęć do

polityki, zwłaszcza polityków. Do tego przesłania odwoływało się choćby jedno z głównych haseł PO podczas kampanii przed wyborami samorządowymi w 2010 roku: „Nie robimy polityki. Budujemy mosty”.

Po drugiej stronie politycznego konfliktu stoi autorytarny populizm PiS-u. Oba te populizmy, PO i PiS-u, łączy jedno: stawka na bierność swych „ludów”. Mają być one jedynie widzami i arbitrami spektaklu pod nazwą „polityka”, która coraz częściej, zamiast wytwarzać opinie i argumenty do debaty, buduje nastrój i widowisko. Bierny, więc wierny – tak mogłaby brzmieć definicja idealnego wyborcy wszystkich partii. Problem w tym, że w tej postulowanej i organizowanej bierności, gdy zanika rzeczowa debata, nikną również opinie wyrażające jakąś postać dobra ogólnego. Jednak populizmy PO i PiS-u są przede wszystkim różne. PiS-owski chce wyrzucić system, ten platformerski chce go konserwować. Tyle że konsekwencje tych postaw są zapewne nieoczekiwane dla obu ugrupowań. Bo rewolucyjne projekty PiS-u przerażają się w separację od systemu i trwanie obok zmian i ważnych problemów. A populizm PO, mający bronić zastanej demokracji liberalnej, przekształca się nierzadko w ani demokratyczne, ani liberalne próby zaprowadzania porządku w społeczeństwie. Zwłaszcza w kryzysie.

Społeczeństwo w kryzysie

Wiadomo, kryzys nie przynosi dobrych wieści dla europejskich demokracji, ale w Polsce jego skutki i lęki z nim związane rozpełzają się powoli. Polacy najsilniej spośród społeczeństw europejskich popierają Unię Europejską, uważając ją za najpewniejszą, w dużej mierze jedyną gwarancję rozwoju kraju. Wiąże się to, rzecz jasna, z potężnym strumieniem pieniędzy płynącym z Brukseli na inwestycje i wyrównywanie szans. Ale jest jeszcze jedna motywacja: Europa pozostaje potężnym symbolem

awansu cywilizacyjnego i lepszego życia. Kryzys tych przeświadczeń nie naruszył. Ponadto, w przeciwieństwie do społeczeństw rozwiniętej części Europy, Polacy wciąż pną się w górę materialnie i statusowo. Klasy średnie są na dorobku i w rozwoju; wejść w nie i osadzić się w nich – to pragnienie wielu Polaków. O ile więc kryzys odbiera zachodnim klasom średnim stabilność, przyszłość, kariery, poczucie godnego życia, o tyle w Polsce dzieje się inaczej: kryzys tego wszystkiego chwilowo nie daje. Spowalnia awans, lecz go nie niweczy. Na razie, bo jeśli kryzys rozleje się wielką falą i podkopie aspiracje większości, nastroje łatwo mogą się odwrócić. Jak wiemy z europejskiej historii, o stabilności demokracji przesądzały właśnie klasy średnie. Ale na razie większość Polaków uważa, że choć teraz kraj ma się raczej źle, to przyszłość ma się całkiem dobrze.

Podpowiada im to doświadczenie. Według badań Eurostatu z lutego tego roku, w Polsce szybko ubywa biednych – w sześć lat z 13 do 5 milionów, czyli z 34 procent do 18 procent.²⁷ Jasne, to wciąż znacznie powyżej średniej unijnej (8 procent), a w dodatku zagrożonych ubóstwem jest też 5 milionów osób, ale trend jest wyraźny. Obejmuje miasta i wieś, właściwie wszystkich, poza jedną wielką kategorią społeczną: poza młodymi.

Bezrobocie wśród młodych – do trzydziestego czwartego roku życia – sięga 28 procent²⁸, przy czym w mniej rozwiniętych województwach na południowym wschodzie Polski wynosi aż 60 procent. Więcej też jest bezrobotnych młodych kobiet niż młodych mężczyzn, co pokazuje wciąż obecne nierówności między płciami w dostępie do pracy. Dodatkowy potężny problem polega na tym, że większość zatrudnionych młodych ludzi pracuje na tzw. umowach śmieciowych, co oznacza na ogół niestabilną pracę w kiepskich warunkach przy niskim wynagrodzeniu. Wszystko to dotyka także młodzież wykształconą; rzesze młodych ludzi pracują poniżej swych

kompetencji, marnując swe kwalifikacje i własną przyszłość. Nie bez kozery mówi się o nich: pokolenie straconych szans, jakby dla wszystkich, także dla nich, było jasne, że akurat oni Beckowskie społeczeństwo ryzyka zamienili na społeczeństwo porażki.

Jeszcze się nie buntują; nie ma polskich „oburzonych”, podjęta w 2011 roku próba wywołania ich do obecności zakończyła się kląpą, przyszło około stu osób. Niewiele, nawet jak na niezbyt przecież wygórowaną miarę hiszpańskich „oburzonych” czy ruchu Occupy Wall Street. Nic dziwnego, to właśnie młodzi najpełniej ucieleśniają nową formę społeczeństwa, czyli demokrację indywidualistyczną, która rodzi się na pewnym poziomie zbiorowej zamożności, starszych objęła więc w Polsce, gdy byli już dojrzałi. Ale obok cech społeczeństwa zindywidualizowanego, pozbawionego zastanych reprezentacji, oddziałuje coś jeszcze: wciąż żywe w polskiej modernizacji przeświadczenie, że wszystko należy zawdzięczać sobie samemu. Sam budujesz swoje sukcesy, sam znosisz swoje porażki – to wciąż normatywny horyzont polskiego kapitalizmu. Brak poczucia solidarności społecznej, więcej, brak oczekiwań, by jakiś rodzaj wspólnotowej solidarności kształtował społeczeństwo, naznaczają młodych Polaków. Owszem, pragną stałych punktów oparcia w ustawicznie zmiennej rzeczywistości, ale szukają ich w życiu prywatnym, nie zbiorowym, stąd tak częste deklaracje wartości konserwatywnych w młodych pokoleniach. Rodzina, dom, sprzeciw wobec aborcji – mała prywatna stabilizacja staje się pożądanym schronieniem przed niepewnością i upokorzeniami, jakie przynosi świat zewnętrzny. Ta postawa, rozpowszechniona w PRL-u, silnie obecna wcześniej w wieku XIX pod zaborami, okazuje się żywa także teraz, co dobitnie świadczy o rosnącym poczuciu zagrożenia.

Bo choć nie widać wśród młodych oznak otwartego buntu, to sądząc z licznych publicznych wypowiedzi, narasta wśród nich gniew i poczucie beznadziejności.

Na różnych poziomach. Przede wszystkim, coraz bardziej czują się wykluczeni z systemu, zdradzeni przez dotychczasową demokracją liberalną, która im, jak wszystkim, obiecywała godne życie i dobrą przyszłość w zamian za uczciwą pracę i kompetencje. Widzą bowiem, że pracując na śmieciowych umowach, wchodząc co i raz w bezrobocie, bez wyobraźalnej przyszłości, nie są w praktyce pełnoprawnymi członkami społeczeństwa.²⁹ Często pracodawcy ani oni sami nie odpłacają sobie emerytur ani nawet ubezpieczenia zdrowotnego – są więc pozbawieni podstawowych dóbr społecznych. Mają również kłopot z uzyskaniem kredytów, czyli z planowaniem i organizowaniem przyszłości. Mogą więc zasadnie obawiać się, że wchodzi na drogę wiodącą do gorszej podklasy społeczeństwa. Ba, nie tylko oni, także ich dzieci, bo gdy pracy jest mało, a towarzyszą temu, jak to się dzieje teraz, cięcia w polityce społecznej, nie tylko przybywa przegranych, lecz także wzrasta rola dziedziczenia statusu społecznego. Znajomości, pochodzenie społeczne znacznie ułatwiają start życiowy. Dzieci przegranych są bardziej narażone na przegraną, dzieci wygranych – mają uprzywilejowany dostęp do rzadkich dóbr, jakimi są praca i kariera. Teza o odradzaniu się społeczeństwa klasowego nie jest nedorzeczna. Dochodzi do tego silnie zakorzeniony w Polsce od wielu pokoleń obyczaj nepotyzmu, obecny na wszystkich szczeblach władzy i we wszystkich partiach. Trudno to zmieścić w regułach sprawiedliwości, nie tylko tych wynikających z europejskiej tradycji państw socjalnych, lecz także tych oferowanych dotychczas przez wolny rynek.

Toteż eroduje przekonanie, że kapitalizm, swoboda gospodarowania i posiadania, stanowi jeden z fundamentów wolności. Zglobalizowany kapitalizm zdaje się mroczną potęgą rządzącą losem jednostek i społeczeństw według niepojętych reguł. Widać to teraz. Wystarczy plotka, by rynki szalały, niwecząc nierzadko

oszczędności wielu ludzi. Wystarczy nieco emocji na rynkach, by finanse całych państw były zagrożone. Ta władza, anonimowa, kapryśna i bezapelacyjna, przeraża i wścieka. Poddać globalny kapitalizm kontroli – to postulat coraz częstszy w Polsce i w Europie. Ale na razie nikt nie wie, jak to robić. Toteż zwykły człowiek, którego egzystencja zależy od rynku, czyli każdy z kilkudziesięciu milionów Polaków, jak każdy z setek milionów Europejczyków, staje w obliczu tej władzy bezbronny i odarty z poczucia, że jest obywatelem mającym prawo stanowić o własnym losie. Tej jego bezbronności nie potrafi zaradzić żadne państwo ani nawet Unia. Są zbyt słabe, by mierzyć się z rynkami.

Dlatego nie mam złudzeń: gdy umocni się przekonanie, że obecna demokracja starszym fundowała elementarną stabilizację, młodym zaś oferuje społeczeństwo porażki, przyjdzie czas buntów także w Polsce, jak zresztą najpewniej w całej Europie. Bo na dłuższą metę polskie społeczeństwo nie wytrzyma zablokowania ścieżek rozwoju dla coraz większej liczby jednostek. Jak młodzi będą się buntować? Pewien przedsmak dały protesty przeciw ACTA. Znow pozwolę sobie na gdybanie, ale nie sądzę, by były to sprzeciwy odmienne od tych, jakie obserwowaliśmy w Hiszpanii czy w USA. Czyli w gruncie rzeczy poczciwe, prodemokratyczne, przynajmniej na początku; mogłyby się w nich odrodzić wspólnotowe i właśnie demokratyczne tradycje „Solidarności”. Nad protestami hiszpańskich „oburzonych” nie unosiło się widmo rewolucji, nie chcieli burzyć systemu, żądali jedynie, by się przeobraził. Jeśli coś zapowiadali ponadto, to raczej pokojową z niego wysiadkę bez jasnego przekazu, dokąd chcieliby się udać. To, że w Polsce słabnie wiara w sprawiedliwość demokracji i reguły rynku, oznacza najpewniej, iż do łask wróci opiekuńcza rola państwa jako wsparcia dla małej prywatnej stabilizacji. Pilnym zadaniem demokratycznej polityki jest więc to, by na nowo sformułować historyczny kompromis między państwem

a rynkiem, jakim jest europejskie państwo opiekuńcze. Rzecz jasna, w całej Europie, także w Polsce. Bo jest też inna możliwość. Jeśli Europa okaże się zbyt nieudolna w reformowaniu polityk społecznych, to bunt przeciw rzeczywistości może przybrać ponure oblicze: serii populistycznych rewolt. W takim przypadku Polska nie pójdzie raczej odrębną drogą. Zasoby są.

Na razie jednak polscy rządzący w obliczu pełzającego gniewu społecznego i aktywizującego się doraźnie społeczeństwa ulegli pragnieniu, by to społeczeństwo zdyscyplinować. Koalicja rządząca przeforsowała prawo ograniczające wolność zgromadzeń i demonstracji, zwłaszcza spontanicznych i robionych szybko. A wcześniej w trybie nagłym przegłosowano w parlamencie ustawę pozwalającą władzy, centralnej i lokalnej, na ograniczanie dostępu obywateli do publicznych informacji. Jednak najwyraźniej próby uporządkowania nazbyt, zdaniem wielu polityków, rozwichrzonego społeczeństwa przejawiają się w kulturze.

Kto się boi kultury?

Właśnie w kulturze, zwłaszcza w teatrze i sztukach wizualnych, najsilniej przejawia się to, co nazwałbym buntem diagnoz. Nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej twórcy tak wielką falą i równie intensywnie zajmowali się stanem społeczeństwa. Demokracja, kapitalizm, elity, genealogie współczesnego narodu, tradycje, rodzina, obyczaje, mniejszości, kwestie genderowe – traktowana na ogół krytycznie współczesność aż kipi na scenach i w galeriach w całej Polsce. Nie tylko w stolicy, w Warszawie, lecz także w mniejszych miastach w różnych regionach kraju. Te, często niełatwe w odbiorze wystawy i przedstawienia, znajdują publiczność, nie tylko znajomych z branży, lecz także miejscowych, tzw. zwykłych ludzi. Jakby Polacy, chcąc zrozumieć siebie i swoje otoczenie,

zwracali się do kultury uchodzącej tradycyjnie za niszową. Co pokazuje w dużej mierze słabość innych narzędzi poznawczych społeczeństwa. Zresztą, akurat ułatwienie dostępu do kultury, zwłaszcza w miejscach oddalonych od kulturalnych ośrodków, wdarło się do polityki rządu. Także za sprawą oddolnego ruchu „Obywateli kultury”, który wymusił na władzy stopniowe zwiększanie budżetu na zapewnianie dostępu do dawnej i nowej twórczości.

Ale obok tej polityki w kulturze rozgrywa się dziś doniosła i obejmująca wiele miejsc w Polsce bitwa, czy raczej seria potyczek ludzi kultury z władzami lokalnymi i centralnymi. W tych bataliach władze wspomaga kryzys, dając dobry pretekst, by naciskać na twórców, żeby uprawiali sztukę mniej zaangażowaną i bardziej komercyjną. Nie mamy pieniędzy na ekstrawagancje artystów – to najczęstsza fraza w tych konfliktach. Tyle że kryją się za nią dwie rzadziej formułowane wprost intencje. I dwa nieporozumienia co do kultury.

Pamiętna scena z filmu Miloša Formana o Mozarcie: cesarz ma ocenić jego operę, dwór czeka, w końcu władca wyrokuję: za dużo nut. Ten dworski mechanizm osądzania kultury ze szczytów politycznej hierarchii wciąż istnieje w demokratycznej Polsce. Wszędzie dają o sobie znać politycy, lokalni i centralni, którzy sądzą, że wiedzą najlepiej, co i jak artyści winni robić i czego nie powinni. Traktują bowiem twórców i animatorów kultury jak członków orszaku władzy: trzeba ich pilnować i odmawiać im łask, jeśli się narażą. Gdy wybucha skandal, interweniuje często minister kultury, łagodząc sytuację, przy kompletnej obojętności najważniejszych polityków kraju.

To, oczywiście, szerszy problem. Traktowanie kultury jako ozdoby władzy jest podtrzymywane przez ogólniejsze, powiedziałbym staromodnie: filisterskie, przeświadczenie, wszechobecne w polskich klasach wyższych i średnich, że kultura ma być wytchnieniem od trudów pracy i życia, spoza „prawdziwej” i poważnej

rzeczywistości, poza zaangażowaniami.³⁰ Ale to, że kulturę uważa się za utrzymankę eleganckich panów i pań, stanowi tylko jedną stronę tego marnego medalu. Bo kultura, która wyrwa się z tych ograniczeń, bywa często postrzegana jako zagrożenie dla prestiżu władzy, społeczeństwa, porządku. Wara artystom od poglądów politycznych, od tego jesteśmy my, politycy – ten isticie feudalny przekaz płynie z różnych miejsc w Polsce.

A przecież współczesne społeczeństwa, także Polacy, żyją w ciągłym przyspieszeniu, podlegają nieustającym zmianom, które wciąż unieważniają nasze dotychczasowe doświadczenia, czyli stałe punkty orientacyjne. Brak takich oparc, porwane tradycje sprawiają, że zalewa nas fala ideologicznych, ale też czysto życiowych fikcji i iluzji – przekonuje niemiecki filozof Odo Marquard. Pozbawieni stałego gruntu, tradycji, ciągłości, wzorów wyglądamy nierealnych światów, cudownych recept na dobre życie. „Dzieci – pisze Marquard – dla których rzeczywistość jest przygniatająco obca, potrzebują dla wyrównania żelaznej porcji tego, co swojskie: swych misiów, które z tego powodu ciągną wszędzie ze sobą. Tak właśnie nowocześni dorośli – którym świat wskutek przyspieszenia ciągle odsłania swą obcość – potrzebują ideologii bliskiego nastania tego oczekiwanego, uzdrowionego doczesnego świata: jest to mentalny miś nowoczesnie zdzieciniałego dorosłego”.³¹

Dziś główną zaporę przeciw takiemu intronizowaniu iluzji w społeczeństwie stanowi kultura. Bo przecież już nie Kościół, nie partie polityczne ani polityka, która przestała wyznaczać zbiorowe cele społeczeństwa, już nie dawne wzory. Kultura trzyma nas przy rzeczywistości jako nośnik kontynuacji oraz jej nieustający weryfikator i odnowiciel. I jako surowy diagnosta naszych stanów ideowych oraz mentalnych, zbiorowych i indywidualnych, jako demaskator iluzji, nieoczywistych stereotypów, fałszywych lub podejrzaných przeświadczeń.

A także jako ta instancja, która zbiera i upowszechnia indywidualne i zbiorowe narracje o losie, przeszłości i nadziejach. Daje nam więc wielość oglądów świata i wielość historii, bez czego popadlibyśmy w zniewalającą jednorodność. Jest więc kultura strażnikiem życia w rzeczywistości, chroniąc nas przed zwarjowanymi ułudami, jest gwarancją wolności, oferując wielość, i jest lustrem, z którego, gdy w nie patrzymy, wciąż przezie-rajają ideały ludzkości.

Więc i ja zwracam się do kultury, a spośród licznych niedawnych dzieł dobry trop podsuwa mi spektakl Weroniki Szczawińskiej i Mateusza Pakuły *Żle się ma kraj*.³² Powstał on na podstawie książki Tony'ego Judta *Ill Fares the Land*, ale jego głównym bohaterem, inaczej niż w eseju Judta, jest Postać, Co Nic Nie Rozumie, trafnie oddająca sytuację współczesnych mieszkańców Polski i zapewne Europy. W spektaklu ową Postać przepełnia zdumienie absurdami naszych demokracji poddanych presji nieokiełznanego kapitalizmu, nad tym, że sami sobie fundujemy coraz gorsze życie. Rozglądając się po świecie, Postać, Co Nic Nie Rozumie jest ustawicznie karmiona fałszywymi przeświadczeniami, jak należy żyć i co jest ważne. Ale z tych nauk nie kluje się żadna spójna wiara, choćby kłamliwa. Otrzymujemy jedynie strzępy pewników, poruszamy się na gruzowisku myśli i idei. Nie ma już litościwych złudzeń ani nawet mocnych, pełnych rozmachu kłamstw, które by mogły uładzić poczucie absurdu i obcości świata.

Powiedziałbym: jak w życiu. Jeśli coś dziś łączy Polaków, jak i Europejczyków o różnych poglądach i różnych pozycjach w społeczeństwie, to właśnie to, że wspólnie nic nie rozumieją ze współczesności. I, co więcej, nie mają nadziei, iż w przewidywalnej przyszłości dane im/nam będzie coś pojąć. To nowe doświadczenie, bo nawykliśmy do obecności wiar i ideologii, które jakoś sklejały naszą egzystencję ze światem, porządkowały ją, nawet

gdy ów porządek opierał się na złowrogich podstawach. Przez stulecia wizje wspaniałej przyszłości ziemskiej czy pośmiertnej ułatwiały nam wpisywanie się w życie zbiorowe, karmiliśmy się też wiarami w konieczności dziejowej lub społecznej. Nawet plugawe wierzenia, jak to, że słabsi muszą zginąć, ustępując miejsca silniejszym, czy jak rasizmy i nacjonalizmy, czyniły ze świata coś wrednego, lecz zrozumiałego, bo kierującego się jakąś logiką.

Ale skoro ani wizje dobra, ani uporządkowane zło nie przybliżają nam rzeczywistości, bo wyparowały z naszego horyzontu, to w naszych stosunkach ze światem górę bierze poczucie obcości. Szczawińska i Pakuła sprawdzają w spektaklu, czy da się uczynić rzeczywistość bardziej zrozumiałą i mniej obcą, wyprawiając się w przeszłość, czyli sięgając do źródeł współczesnych demokracji. Jednak rezultat nie jest jednoznaczny, bo choć sięgnięcie w przeszłość pozwala nam zobaczyć samych siebie dziś, to zarazem zanurza nas w nostalgii i resentymentach. Zamiast przywracania ciągłości, będących warunkiem osadzenia się w świecie i zmieniania go, mamy fabrykę resentymentów, które czynią rzeczywistość jeszcze bardziej mglistą i zamkniętą. Poczucie bezradności bywało często źródłem nowych myśli i wielkich zmian. Także w tym sensie Postać, Co Nic Nie Rozumie jest bohaterem naszych czasów. Na razie błąka się odgradzona od świata, od historii i przyszłości. Jak nasze społeczeństwa. Ale to stan przejściowy.

Przypisy

- 1 Wyборы fałszowano już w Polsce międzywojennej, po II wojnie światowej komuniści doprowadzili ten proceder do perfekcji.
- 2 Pakiet reform ustrojowych i gospodarczych wprowadzanych od 1990 roku w warunkach rozkładu gospodarki i hiperinflacji wynoszącej ponad 600 procent.
- 3 Jeszcze w październiku 1994 roku Donald Tusk, wówczas młody lider środowiska liberałów w Unii Wolności, partii Tadeusza Mazowieckiego, Jacka Kuronia, Bronisława Geremka, deklarował w „Tygodniku Powszechnym”: „Trzeba być skutecznym w sprawie najważniejszej, czyli wydobycia Polski z socjalizmu. Ale jeśli nie ma już na to legitymacji demokratycznej, to trzeba szukać innej, nawet i ponadkonstytucyjnej, drogi”.
- 4 Tymiński wystartował w wyborach jako człowiek znikąd. Wiadomo było jedynie, że jest biznesmenem działającym w Ameryce Północnej i Południowej, co działało na wyobraźnię Polaków. W kampanii przedstawiał się jako kandydat spoza układów, atakował reformy Balcerowicza i gromadził wokół siebie ludzi z komunistycznych służb specjalnych oraz sieroty po PRL-u. Słynna była jego czarna teczka, którą pokazywał na konferencjach prasowych, mówiąc, że ma tam materiały na konkurentów. Ale nigdy jej nie otworzył. Potem kilkakrotnie startował w wyborach, uzyskując zaledwie szczątkowe poparcie.
- 5 Por. ciekawy esej Jana Sowy *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Universitas, Kraków 2011.
- 6 Julia Fiedorczyk, *Biała Ofelia*, Wrocław 2011, s. 63.
- 7 Pierwotnie używał jej Aleksander Zinowiew, rosyjski pisarz i dysydent. W wersji Tischnera uległa ona modyfikacji.
- 8 Dekomunizację przewidywał jeszcze program PiS-u z 2005 roku, choć żadnych takich działań ta partia nie podjęła.
- 9 Cyt. za: „Bogatynia szczęśliwa z czerwonymi ulicami”, „Gazeta Wyborcza”, 20 lipca 2012.

- 10 Jest w tym swoisty rewanż doktryny leninowskiej. W 1946 roku Jan Strzelecki, filozof, socjalista, opublikował esej „Mała i wielka historia” [por. Strzelecki, *Kontynuacje*, PIW, Warszawa 1969, s. 27–38], w którym polemizował z wulgarnym marksizmem fałszującym historię przez niedostrzeganie indywidualnych losów. Eсей ten niezłe stosuje się także do współczesnych lustratorów.
- 11 „Jest Polska tych Polaków, którzy chcą pozostać Polakami. I jest druga Polska, mała i strachliwa, i wstydząca się swojego polskiego istnienia. To jest Polska tych Polaków, którym znudziła się, którym obrzydła ich polskość” – mówił Rymkiewicz choćby tygodnikowi „Newsweek” (24 listopada 2010, wydanie polskie tego tygodnika).
- 12 Por. Marcel Gauchet, *La religion dans la démocratie*, Gallimard, Paris 1998, s. 172–73.
- 13 Jan Tomasz Gross, *Sąsiedzi*, Pogramicze, Sejny 2000.
- 14 Paweł Lisicki, „Rzeczpospolita” z 14 listopada 2009.
- 15 Ten uniwersalny mechanizm trafnie analizuje Arjun Appadurai w *Fear of Small Numbers. An Essay on the Geography of Anger*, Duke University Press, Durham and London 2006; polskie wydanie: *Strach przed mniejszościami. Esey o geografii gniewu*, tłum. Marta Bucholc, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009.
- 16 „Rzeczpospolita” z 10 października 2009.
- 17 Hannah Arendt, *O rewolucji*, przełożył Mieczysław Godyń, Czytelnik, Warszawa 2003, s. 330, 147.
- 18 *ibid.*, s. 270.
- 19 *ibid.*, s. 334.
- 20 *ibid.*, s. 335.
- 21 Por. Tomasz Rakowski, *Lowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego*. Gdańsk: słowo/obraz terytoria, 2009. To świetne studium aktywności ludzi wykluczonych, budujących swoje światy komplementarne wobec systemu.
- 22 Hans Magnus Enzensberger, *Mittelmass und Wahn*, Suhrkamp, Frankfurt am Main 1991, s. 230, cyt. za: Ulrich Beck, Anthony Giddens, Scott Lash, *Modernizacja refleksyjna*, przeł. Jacek Konieczny, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009, s. 60.
- 23 Por. Marcel Gauchet, *La religion dans la démocratie*, Gallimard 2002 (pierwsze wydanie 1998).

- 24 Gauchet, *ibid.*
- 25 Wizyta w Katyniu, gdzie podczas wojny NKWD grzebało polskich oficerów wziętych do niewoli i rozstrzelanych, miała stanowić etap przedwyborczej kampanii prezydenckiej. Tym ważniejszy, że parę dni wcześniej taką podróż na zaproszenie premiera Putina odbył premier Tusk.
- 26 Choćby mój i Aleksandra Smolara.
- 27 Za: „Gazeta Wyborcza”, 9 lutego 2012.
- 28 Dane Eurostatu z kwietnia 2012 roku.
- 29 Między innymi Tony Judt pisał, że państwowe zasiłki pozwalają żyć, lecz nie dają miejsca w społeczeństwie, por. *Ill Fares the Land: a Treatise on our present discontents*. London: Allen Lane, 2010. Wydanie polskie: *Żle się ma kraj*, przeł. Paweł Lipszyc. Wołowiec: Czarne, 2011, s. 34–35.
- 30 Hannah Arendt, wyczulona na słabe punkty demokracji, wie, co mówi, gdy za jedno z największych zagrożeń dla kultury w świecie demokratycznym – większe niż przemysły rozrywkowe i kultura masowa - uważa wypychanie jej z rzeczywistości. Por. Arendt, *Między czasem minionym a przyszłym. Osiem ćwiczeń z myśli politycznej*, przełożyli Mieczysław Godyń, Wojciech Madej, Fundacja Aletheia, Warszawa 1994, s. 238–44.
- 31 Odo Marquard, *Apologia przypadkowości. Studia filozoficzne*, przełożyła Krystyna Krzemieniowa, Oficyna Naukowa, Warszawa 1994, s. 89.
- 32 Teatr Polski w Bydgoszczy, premiera 22 czerwca 2012 roku.
- W tekście korzystałem z fragmentów własnych publikacji w „Gazecie Wyborczej”: „Polskie mniejszości, czyli wolność wywołana na wojnę”, 9 stycznia 2010; „Rewolucja z ludzką twarzą”, 20 marca 2010; „Jednostka bierze władzę”, 28 sierpnia 2010; „Po co, u diabła, ta kultura”, 27 listopada 2010; „Wymyślony lud i głuche elity”, 29 stycznia 2011; „Plugawa mowa, poważna sprawa”, 9 kwietnia 2011; „Wysiadka z systemu”, 28 maja 2011; „Wzbiera gniew”, 17 września 2011; „Gniew ludu smoleńskiego”, 7 kwietnia 2012.

Od 1989 roku, czyli upadku komunistycznej dyktatury, Polskę ogarnęły potężne i niekontrolowane zmiany. Nie tylko zmienił się ustrój na demokratyczny, zaś gospodarkę scentralizowaną na wzór sowiecki zastąpiła gospodarka rynkowa. Polskie społeczeństwo od 1989 r. jest nie tyle w ruchu, co w gigantycznym pędzie.

Aspiracje, relacje jednostki ze zbiorowością, model rodziny, model edukacji, tradycyjne hierarchie, style życia, społeczne funkcje przywiązane do płci, relacja z pracą, status czasu wolnego, rola lokalnych pamięci, relacje mniejszości i większości – wszystko to zmienia się błyskawicznie. Polskie rewolucje – to sytuacja społeczeństwa od dobrej dekady.

Zmiany te wywołują i nadzieje na lepsze życie, i potężny opór. Od wczesnych lat 90. do dziś zyskują siłę dyskursy dające się zredukować do przesłania: dość zmian, zatrzymać czas. Przesłanie to, ubrane w różne kostiumy, wyrażała zarówno lewica, jak formacje nacjonalistyczne. Z wielką energią zaangażował się w nie Kościół katolicki, zaś najsilniej doszło ono do głosu w formacji Jarosława Kaczyńskiego. Tkwi ono u źródeł polskich populizmów.

Interesują mnie właśnie te nieokiełznane, mimo licznych prób zaprowadzenia kontroli, przygody społeczeństwa z demokracją i polityką.

